

9
1978



Koontynerntu

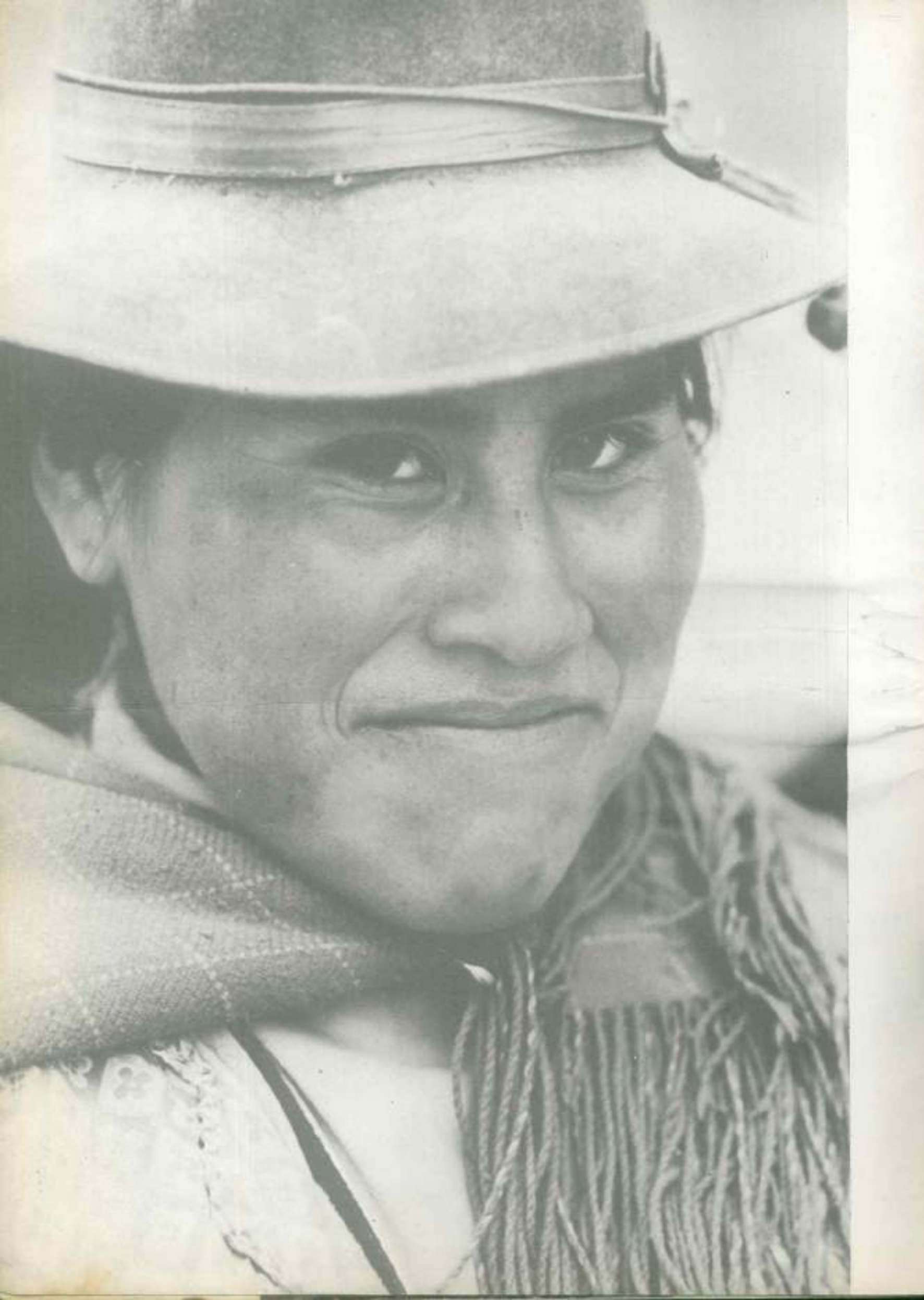
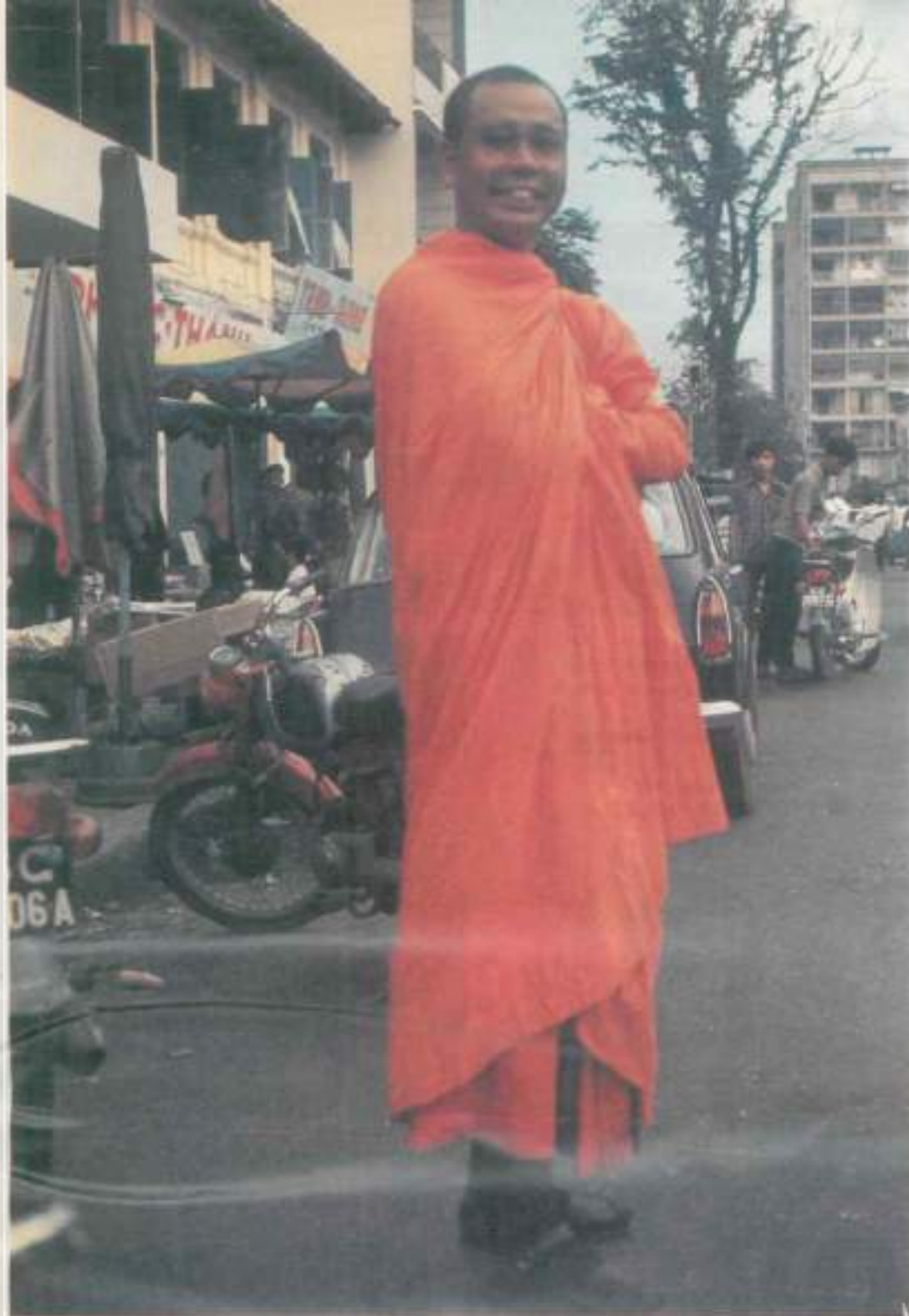


FOTO - KONTYMENTY

MNISI BUDDYJSCY

Zdjęcia:
JERZY CHOCIŁOWSKI



W tym numerze:



Cofnijmy się do dni, kiedy wazyły się losy hiszpańskiego imperium kolonialnego w Ameryce Łacińskiej

Ryszard Schnepf
LIBERTADORZY – str. 16



W żadnym państwie Afryki rewolucja mieniająca się socjalistyczną nie przeobraziła struktur społecznych tak głęboko, jak w Etiopii

Jacek Kalabiński
POCZĄTEK NAJTRUDNIEJSZYCH LAT – str. 9

Nocą miasto staje się martwością, ale ze świtem jest już tak, jak było zawsze, dokąd pamięć sięga...

Wojciech Giełżyński
W 80 DNI
PO JEDNODNIOWEJ
REWOLUCJI – str. 3



Przeksiętem do zbrojnej interwencji państw zachodnich w Zairze była ochrona białych zatrudnionych w prowincji Szaba

Leon Onichimowski
ŚWIĘTE PRZYMIERZE W AKCJI – str. 13

Trakt tego reportażu prowadzi do Biharu, na indyjski Śląsk, gdzie powstały kopalnie przy pomocy polskich fachowców, a jedna z nich także dzięki Polakom nie zginęła przedwcześnie śmiercią...

Jerzy Chociłowski
SUDAMDIH MIAŁA ZATONAĆ... str. 29



Gliniane tabliczki z pismem klinowym nazywają Dilmun rajem, gdzie ludzie żyją w szczęściu i wiecznej młodości

Genowefa Czekala
TAM, GDZIE BŁĄDZIŁ GILGAMESZ – str. 33



Oraz:

Wywiad z rzeźbiarką tajlandzką	23
Szkoda sobie nie podkoczyć	26
Argentina campeoni	37
Regal z książkami	39
Zwierzęta z „Czerwonej Księgi”	40
Niespodzianka w Katmandu	41
Z szerokiego świata	42
Ścieżkami literatury	44
Dialog z Czytelnikami	
Krzyżówka z panda	47
Kartka z klaseru	
Kucharz egzotyczny	48



Ta kolekcja jest największym dotąd darem dla Muzeum im. Allende, imię naszego kraju na zawsze się z nim połączy

Elżbieta Górka
SOLIDARNOŚĆ – str. 18



Kabul – miasto na wzgórzach

W 80 dni po jednodniowej REWOLUCJI

1.

Kabul, połowa lipca. W dzień miasto jest, jak zawsze było, kolorowym jarmarkiem – tylko czolgi, te spalone w dniu Wielkiej Rewolucji Kwiecniowej i te gotowe do akcji w pobliżu gmachów rządowych, tworzą zaskakujący dysonans w pejzażu. Nocą miasto staje się martwą jak setki pustynnych netropoli w tej strefie świata. Godzina policyjna zepada o 23, potem patrole strzelają bez ostrzeżenia. W Afganistanie zegarków mało, więc przezornie znikają z ulic wkrótce po zmroku.

Ale ze świtem jest już tak, jak było zawsze, odkąd pamięć sięga. Osiołki dzwigają wory owoców, krowi Hazarzy ciągną wózki z piętrowymi stosami kożuchów i blokami lodu, skwierczą kebaby nad zarem pałenisk, sprzątacze wzbijają tumany kurzu, majestatyczni kupcy ścierają ten kurz z witrzyn i strzepują z koberców, posłańcy roznoszą imbryki z herbatą – i teraz wszyscy, przycupnięci na piętach, defektują

Afgańscy nomadzi





Były król Zahir



Mohammed Daud



Nur Mohammed Taraki

się herbata. Zaczyna się dzień pracy, która w dzielnicach handlowych polega głównie na czekaniu. Handlowymi są niemal wszystkie dzielnice.

Ten obraz stary, tradycyjny, orientalny, jeszcze dziś – mimo Rewolucji – stanowi afgańską typowość, istotę i wierny symbol kraju, który zawsze żył bardziej z handlu – tego straganowego i tego karawanowego – aniżeli z pracy rąk. Kiedy i jakimi metodami uda się to zmienić? Afganistan był – wciąż pozostaje – wyjątkowym organizmem, którego był najlepiej można zrozumieć z lotu ptaka, z samolotu. Widać wtedy pustynie, widać suche góry w gamie barw pastelowych, kamienista bazmiala, jałowe stopy inkrustowane płowymi wydmiami i wzdłuż strumyków cieniutkie żyłki przyciemnionej zieleni, które – stokróż rzadsze niż tętnica w ludzkim ciele – dają nieożywionej przyrodzie odrobinę życia. Nieporównanie gęstsza jest siatka ścieżek i parcel, wydeptanych tysiącami przez ludzi, owce i wielbłądy. Handel bardziej niż pasterstwo karmił plemiona nomadów, handel bardziej niż rzemiosło bogacił miasta, w których tron ludności stanowiło (nadal stanowi) kupiectwo; wiles przymierała głodem lub wędrowała za pracą hen, gdzie oczy poniosą, do Indii, do Persji, przez zieloną granicę, pozbawioną nawet żdźbła zieleni, dzwigając węzełki z chlebem nan, bukłaki

z wodą oraz materace, czyli cały swój dom wędrowni. Jeszcze w ostatnich latach naftowego boomeru milion Afgańców poszło do Iranu. Dotarło tam o kilkadziesiąt tysięcy mniej, pustynia zebrała swoją hekatombę. Z ostatniego roku: grupa rodzin z Helmandu zapytała władze, co stało się z ich bliskimi, którzy spieniędzyli mizerny dobytek i opłacili przemysłowy autobus, by przez pustynię Sistan zawieźć ich do irańskiego Eldorado? Szef lokalnej policji odparł: „To zbankowane byłoby co dzień ginie na szlaku tysiącami, nie możemy przecież uwiesić się im u ogonów”. Tedy rodziny same wybrały się na poszukiwanie, odnalazły 63 wyschłe trupy. Ujęto przemytnika, który znielacka odjechał – by zaoszczędzić paliwa – gdy z zachodem słońca wyszli spośród pustyni bić pokłony w stronę Kaaby. Zbrodniarz przepłacił policję i wkrótce był na wolności. Na szczęście, zanim powrócił do haniebnego procederu, czolgi 4 i 15 dywizji wyszły z bazy Policharka i zmiotły zgangrenowany reżim Dauda.

2.

Muhammeda Dauda wynieśli do władzy w roku 1973, młodzi oficerowie – ci sami oficerowie zabili go w pięć lat później, bo zdradził ich ideały i zdradził

ich samych. Wierzyli mu, gdy królestwo przemianowało na republikę. Ufali w jego rewolucyjne słowa. Z entuzjazmem popierali hasła sprawiedliwości, wolności, braterstwa, postępu, które Czerwony Książę (Daud lubił ten przydomek, dobrze kamuflujący jego rzeczywiste cele i intencje) głosił z emfazą urodzonego demagoga. To, że okazał się samowładnym dyktatorem, samo w sobie nie było złem i nie wzbudzało namiętności sprzeciwu; autokratyzm jest głęboko zakorzeniony w politycznych tradycjach Afgańców i całkowicie zgodny z ich etosem. Ale to, że Daud oszukał lud próżnymi obietnicami i złamał zasady sprawiedliwej odpłaty, nie mogło być wybaczone. W te d y kapitanowie i majorzy dali się omieścić i wymanewrować. Abduł Chadir, dumny lotnik, został zdegradowany – bo zbyt śmiało myślał – do dyrektora rzeźni wojskowych. Te r a z kapitanowie i majorzy nie powtórzyli błędów i celnie strzelali; Abduł Chadir (jak mówi się w Kabulu) własnoręcznie usmiercił gen. Muszā, dowódcę sił powietrznych, który organizował lotniczą odsiecz dla Dauda. Nie ma rewolucji bez ofiar, tym bardziej bez ofiar nie mogło jej być w Afganistanie. Temu krajowi nadają ton Pasztunowie, dla których Kodeks Pasztunwali jest prawem żelaznym, a drugi punkt tego kodeksu, Badał, orzeka: „Za śmierć – śmierć”. (Pierwszy, rzecz znamienna, jest paragrafem łagodności: ponad wszystkie cnoty i obowiązki stawia bezinteresowną gościnność).

Co się, prócz frazesów, zmieniło w Afganistanie, gdy król Zahir zastąpił prezydent Daud?

Na ogół nic. Chłop nadal tkwił w wiernopoddanństwie, w niektórych prowincjach po prostu w statusie niewolniczym.

Przemysł dawał pracę jednemu na stu i rozwijał się w tempie kulawego żółwia. Daud nie chciał nowych inwestycji, zwłaszcza przemysłowych. Robotnicy mają nieprawomyślnie popędy, łatwiej jest rządzić masą wół bezrobotnych nędzarzy, ujętych w karby tradycyjnego systemu hierarchii i autorytetów, niżli społeczeństwem, w którym pod wpływem industrializacji rosną ludzkie aspiracje i tworzą się zaczątki układów klasowych.

Paradoksalnym skutkiem ekonomicznego kunktactwa była niezwykle mocna pozycja afgańskiej waluty. Dolar w stosunku do afgańców przez ostatnich pięć lat spadł niemal trzykrotnie (spadają nadal!), gdyż strumyczek pieniędzy – skoro płace były gro-



Wóz pancerny przed Domem Ludu (siedziba rewolucyjnych władz Afganistanu)



Dolina Bamjanu; dawne buddyjskie miasto jaskiniowe

szowe, a zatrudnienie minimalne – płynął z kas państwowych z aptekarską wstrzeźliwością. Dzięki temu nie istniało zjawisko inflacji; żyło się bardzo biednie, lecz nędzy nie pogłębiał ruch cen i rzadko dochodziło do protestów na tle socjalno-bytowym.

Półowa ludności Afganistanu – Hazarzy, Turkmeni, Tadzycy, Uzbegy, Kirgizi – miała faktycznie status obywateli drugiej kategorii. Za „prawdziwych” Afganów uchodzili tylko Pasztunowie, acz i wśród nich były przepastne różnicowania bogactwa i prestiżu. Na przykład rod Mohammedzai z wielkiego plemienia Durrani stał o niebo wyżej niżeli klan Taraki. Ci pierwsi (wśród nich Daud) byli familiantami króla, ci drudzy biednymi pasterzami. Nur Mohammed Taraki, przewodniczący Rady Rewolucyjnej i premier Demokratycznej Republiki Afganistanu – urodził się właśnie w pasterskim namiocie.

Dzisiaj nie ma dla nowych władz rewolucyjnych sprawy pilniejszej aniżeli autentyczne zrównanie obywateli, niezależnie od ich etnicznego, religijnego, plemiennego i klanowego pochodzenia. Ale też nie ma sprawy trudniejszej. Tego nie rozwiąże żaden dekret. To zadanie na dziesięciolecie pracy, pracy cierpliwej, rozważnej i konsekwentnej. Nagłe zburzenie ustroju społecznego, który wytwarzał się przez niezliczone wieki i ma niepisane sankcje w potężnej wierze muzułmańskiej, w naukach mullahów i ulemów – musiałoby doprowadzić do eksplozji, byłoby pożywką kontrewolucji. Lecz z drugiej strony nowa władza musi co s szybko zrobić dla najbiedniejszych rzesz, przede wszystkim chłopskich, gdyż obecnie jej społecznym zapleczem jest tylko cienka warstówka

→
Główne wejście do Domu Ludu
(b. pałacu królewskiego) →





1



4



5

ideowej inteligencji, radykalizowanych studentów i patriotycznych oficerów oraz garstka świadomych robotników – spośród i tak szczupłutkiej klasy robotniczej.

3.

To nie odbyło się bez ryzyka, bez ostrej walki, w atmosferze totalnego poparcia i entuzjazmu – acz istotnie biedota z radością powitała z m i a n e i gła-skałe zwycięskie czołgi, błogosławiła lotników, którzy z mistrzowską precyzją trafiali rakietami tylko w Pałac Arg i w pozycje sił reżimowych – ani jednym pociskiem nie częstując miasta.

Walka o Kabul trwała zaledwie 20 godzin.

W tym czasie siły rewolucyjne musiały odprzec kontratak jednostek 7 i 8 dywizji zmechanizowanych, które stacjonowały po drugiej stronie miasta i zostały ściągnięte na pomoc przez byłego ministra obrony narodowej, gen. Rassał. On sam zginął, gdy jechał do prowincji Fajka po posiłki.

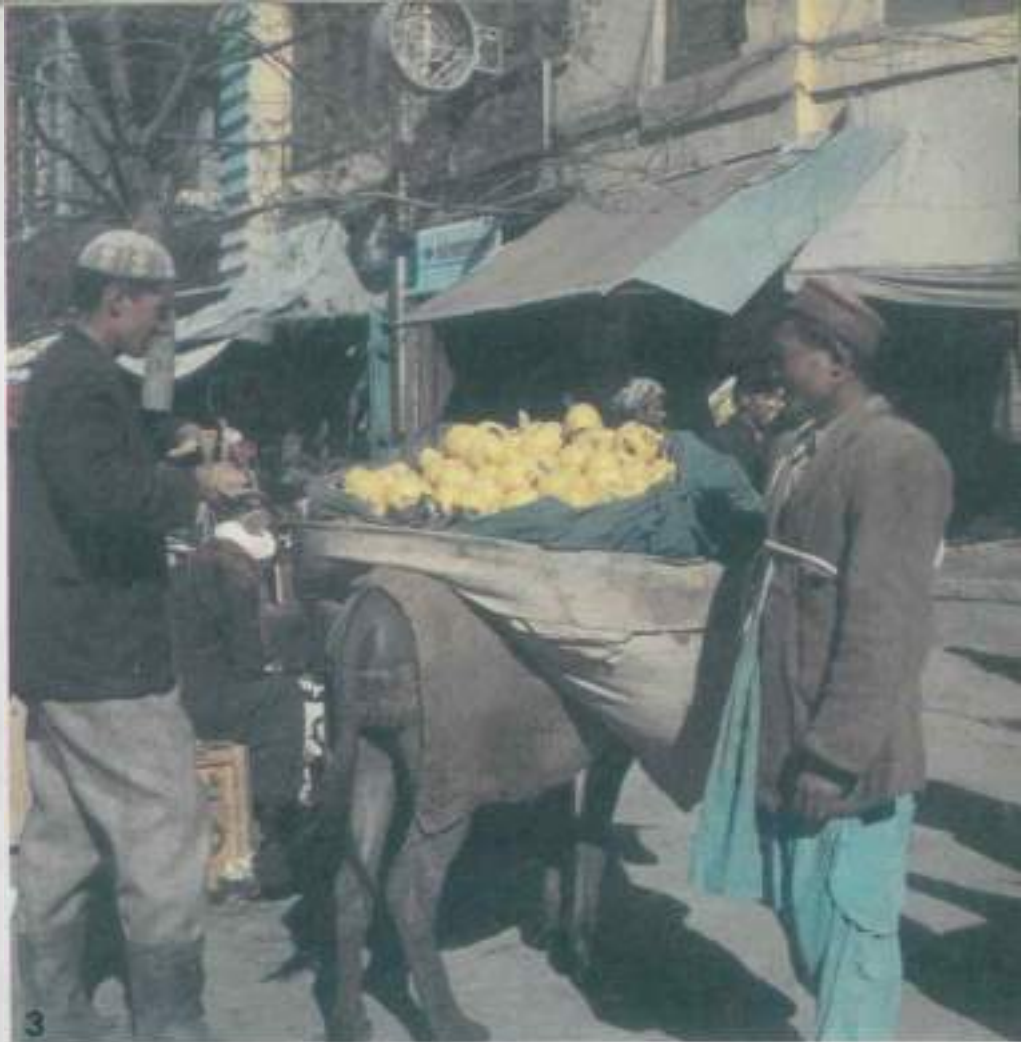
Musiąły zablokować doborowy pułk spadochroniarzy, stacjonujący w forcie Bal Hissar, w samym Kabulu.

Musiąły zatrzymać na ziemi samoloty niepewnej bazy lotniczej w Kandaharze, gdzie było wielu pilotów wyszkolonych przez Amerykanów.

Musiąły – już po zdobyciu Pałacu – powstrzymać ruch brygady zmechanizowanej piechoty z Dżelalabadu oraz jednostek z Heratu. To odbyło się bez przelewu krwi, pierwszych zaręglowano w przepaści-

nym kanionie rzeki Kabul, drugich rozbrojono per-traktacjami.

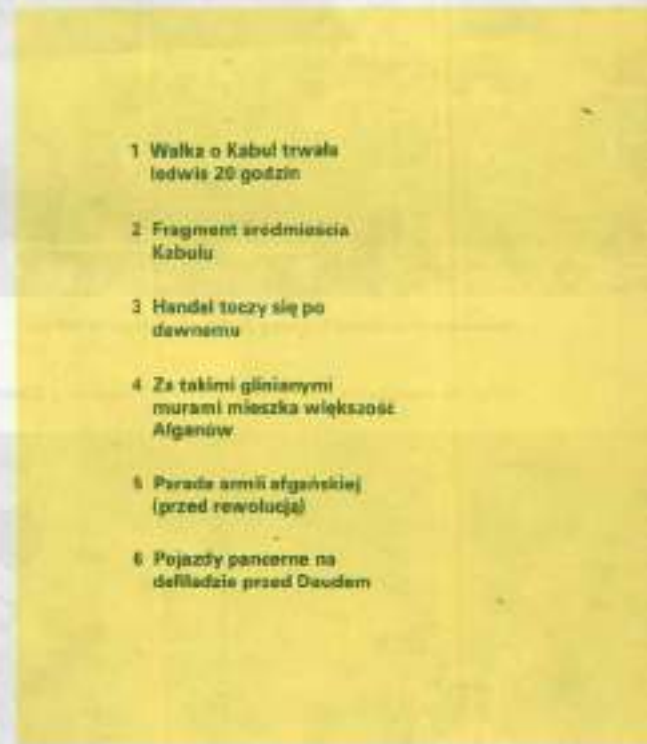
Ale przede wszystkim musiąły zdobyć Pałac, broniony przez dwutysięczną Gwardię Republikańską, werbowaną głównie z najbitniejszych i najwierniejszych plemion Wazirów i Mahsudów – świetnie uzbrojony i od dawna przyszykowany do walki na rozległych terenach pałacowych. Czołgiści majorów Rafiego i Watandżara, lotnicy Abdul Chadira, nie tylko kruszyli ten opór – by pojmać albo zabić Dauda, równocześnie paralizując odsiecz. Zarazem musieli błyskawicznym natarciem uwolnić swoich politycznych przywódców, z Tarakim na czele. (Aresztowano ich dwa dni wcześniej; oczekiwali nie sądu, lecz egzekucji). I to też się powiodło, strażnicy więzienia zginęli, zanim się zorientowali, co się dzieje.



4.

A potem, co jest rzadkością w Azji, rzadkością w całym „trzecim świecie”, wojskowi oddali władzę cywilom – swym towarzyszom partyjnym. Ster rządów objęła Ludowo-Demokratyczna Partia Afganistanu, która od 15 lat – przeważnie w podziemiu – przygotowywała rewolucję. Przez te wszystkie lata LDPA była jedyną, we współczesnym pojęciu tego terminu, partią polityczną Afganistanu: przynajmniej to nawet ludzie niechętni jej, dalecy od marksistowskich poglądów. Wszystkie inne ugrupowania obojętnej masy, od Bractwa Muzułmańskiego po maoistów, miały charakter „stronnictw kanapowych”. Były fikcją. Taką samą fikcją były też wszelkie zadekretowane przez Dauda instytucje, zwane demokratycznymi:

pseudo-wybory, niby-parlament, mityczna „Partia Rewolucji Narodowej” i papierowa konstytucja złożona ze sloganów i pustych paragrafów. Jednak LDPA nie była partią masową. Nie wiadomo, ile miała członków, ile ma. Taraki podczas konferencji prasowej oszacował jej liczebność na 50 tys., ale wraz z sympatykami, niezrównanie liczniejszymi. Sympatycy z reguły ujawniali się wtedy, gdy partia z wojskiem zwyciężyła. Tych, którzy działali w podziemiu, prowadzili tajną pracę w armii, penetrowali sztaby i urzędy, kierowali budzącym się ruchem studenckim, związkowym, kobiecym, stanowili autentyczną kadrę rewolucyjną – szacuje się najwyżej na cztery tysiące, w samym Kabulu – na półtora. Ale 19 kwietnia, podczas demonstracji, która uczciła pamięć wybitnego działacza lewicy, Amira Chajbe-



1 Walka o Kabul trwała ledwie 20 godzin

2 Fragment średniowiecznego Kabulu

3 Handel toczy się po dawnemu

4 Za takimi glinianymi murami mieszka większość Afganów

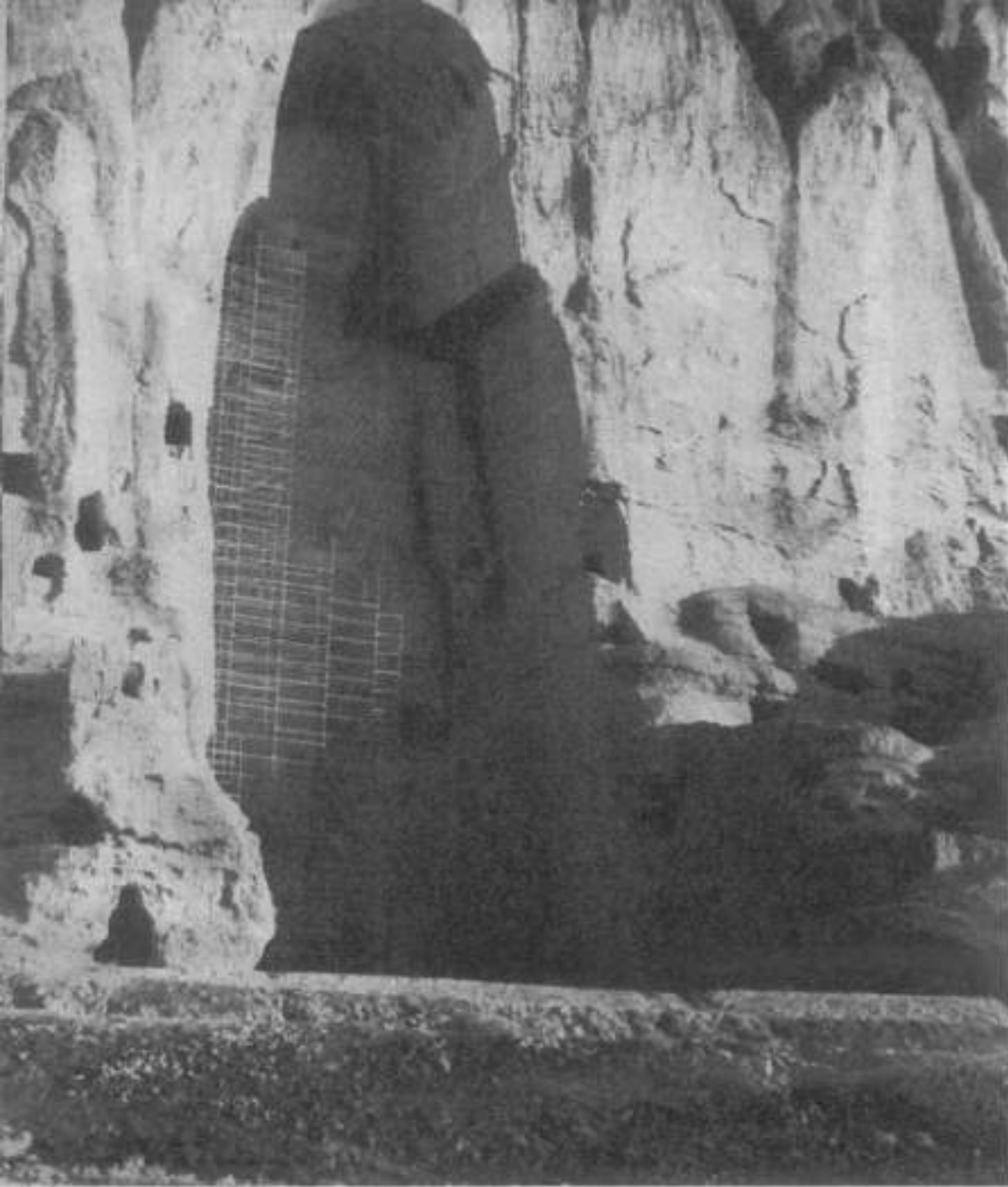
5 Parada armii afgańskiej (przed rewolucją)

6 Pojazdy pancerne na defiladzie przed Daudem

ra, zamordowanego przez daudowskich siepaczy – wyszło już na ulice, pod czerwonymi sztandarami, 15 tysięcy manifestantów. A 27 kwietnia paruset wtajemniczonych oficerów poprowadziło do szturmu kilkanaście tysięcy żołnierzy. O sile partii rewolucyjnej nie zawsze decyduje jej masowość, czasem umiejętność pociągnięcia za sobą mas w przełomowych momentach dziejów.

5.

Kupcy na Chicken Street handlują, jakby nic nie zaszło, narzekając nie na rząd raczej, ale na brak turystów. Muezzinowie odśpiewują swoje wersety koranowe, a co myślą – wie jeden Allah. Nomadzi wedrują, chłopcy orzą, reszta króluje jeszcze wiecując.



Największy na świecie posąg Buddy w Bamjanie (53 m)

Sklep na wieblądzie

Zdjęcia: J. Chocikowski, W. Giełtyński, B. Wiktorowicz, *Newsweek*, *L'Express*



Wiecują masowo więtniowie, z faski rewolucji wyzwoleni, głosząc poparcie rewolucji – jednym głosem polityczni i kryminalni.

Władza polityczna działa za zastaną hasel, hasel o jedności, lecz wiadomo, że umacnianie kierownictwa nie przebiega gładko. W drugim tygodniu lipca sześciu dotychczasowych ministrów i wiceministrów kluczowych resortów, w tym Karmal Babrak – „numer drugi” po Tarakim – otrzymało nominacje ambasadorskie do dalekich krajów. Tak się składa, że wszyscy oni byli przed rewolucją związani z drugim organem partyjnym – Parczam („Flaga”), a nie z pierwszym – Khafo („Lud”). Podobno parczamiści chcieli przyspieszać proces rewolucyjny metodami drastycznymi, bez czekania się z muzulmańską, kupiecką i arystokratyczną reakcją.

Ten kierunek nie przeszedł. Rada Rewolucyjna działa ostrożnie, nie dokonuje pospiesznych reform, które mogłyby spalić na panewce, dopiero myśli nad ich programem i nad metodami działania. Jedno, co uczyniła od razu: ograniczyła zyski kupców, zapobiegła spekulacji, poddała ceny podstawowych produktów skutecznej kontroli. Kupiectwo przeknęło tę pigułkę; niejedna intryga z pewnością zrodzi się na bazarze, lecz chwilowo napięcie w tej warstwie, która dysponuje pieniędzmi, wpływami i zagranicznymi koneksjami, udało się rozładować: apelami do uczuć patriotycznych i solidarności narodowej, a zwłaszcza dyskretną obietnicą, że handel nie zostanie znacjonalizowany.

Mułow rząd głaszcze jeszcze czulej. Taraki nieustannie podkreśla swój szacunek dla islamu, a każdy minister przy każdej okazji publicznego wystąpienia obowiązkowo zaczyna od kilku wersetów z Koranu. Ale jak długo utrzyma się ta idylia? Niejeden światobliwy mąż już opuścił zrewoltowaną stolicę i pojechał do fanatycznych współwyznawców na prowincji nie po to, by ich agitować za socjalizmem.

Trzecia próba sił nastąpi wcześniej czy później ze starszyzną plemienną. Jej autorytetu nikt i nigdy nie zdołał dotąd naruszyć. Czy powiedzie się to Rewolucji? Czy uda się wbić klin reformy rolnej między plemięnców, rozwarstwić ich na większość, która poprze rząd, bo dostanie ziemię, i na mniejszość, której odbierze się ziemię, bogactwo i prestiż? Zadeś ruch rewolucyjny nie może uciec od dylematu KTO KOGO, lecz zarazem żadne p r z e s z t e doświadczenia nie mogą się przydać żarliwej afgańskiej lewicy. Tutaj, w sercu tradycyjnej Azji, zasady lojalności, współpracy, pomocy, szacunku, braterstwa układają się znacznie częściej wedle kryterium więzi plemiennych niż solidarności klasowej. „Obcym” jest członek innego plemienia, a nie własny wyzyskiwacz, „swoim” jest sardar, wielki pan, a nie brat-proletariusz.

Znawcy Afganistanu przepowiadają, że kluczem do sukcesu rewolucji nie będzie zwycięska rozgrywka o ziemię, lecz o wodę. Ziemi nie używanej jest dużo do podziału. Wody jest skąpo. W przeszłości jedynie konflikty o wodę pchały niekiedy zrozpaczonych wsiaków do buntów przeciw tym, którzy mieli pełne kanały – nawet na przekór świętym prawom religii i tradycji. Rząd może bez reszty zdobyć poparcie wsiaków, jeśli da im wodę. Tylko skąd ją wziąć? Inwestycje irygacyjne są kosztowne i trwają latami, zaś kanałów istniejących nie da się – z fizycznej ich natury – podzielić między złaknionych drobnych rolników, bo wówczas wody nie będzie wcale. Szansą są kooperatywy, dbające o wspólne użytkowanie sieci irygacyjnej. Lecz nie tylko w Afganistanie trudno chłopka przekonać do kolektywnych metod pracy.

Na dziś Afganistan ma kłopot doraźny – z powodzią. Pochłonęła 140 istnień ludzkich, tysiące sztuk trzody, dziesiątki tysięcy akrów upraw. Na szczęście powódź kończy się tak szybko, jak wzbiera. Potem znowu będzie sucho.

Rewolucja także wzięła gwałtownie. Teraz chodzi o to, by fala jej nie opadła, gdy pojawią się nieuchronne trudności, których będzie tyle, co włosów w brodzie Mahometa.

Szansa w przecznej, dalekowzrocznej mądrości na co dzień i zdeterminowanym, bezpardonowym działaniu wtedy, gdy trzeba decyzji błyskawicznych. Jak dotąd, LDPA okazała i przezorność, i zdeterminowanie.

Wojciech Giełtyński



1



3

ETIOPIA

Tekst: JACEK KALABIŃSKI
Zdjęcia kolorowe: JAN KALISZ

POCZĄTEK najtrudniejszych lat

Hamowanie musiało być gwałtowne, bo w kilka sekund zrobiło się ciemno: samochód trafił nagle w chmurę szarańczy. Ciągnęła na zachód i nie była zbyt wielka. Wymieniliśmy kilka zdawkowych uwag i pojechaliśmy dalej, aby przed zmierzchem zdążyć do Addis Abeby. Były pierwsze dni marca, wojna z Somalią znajdowała się w decydującej fazie i szarańcza nie wzbudziła naszego zbytniego zainte-

resowania. Ale wieczorem, kiedy w barze hotelu „Ras” wspomniałem o spotkaniu z szarańczą siedzącemu obok Kenijczykowi, ten aż zszarzał z przejęcia i zaczął gwałtownie wypytywać. Gdzie, ile, z jakiego kierunku leciała, czy nie złapałem choćby jednego okazu? Był ekspertem FAO do spraw zwalczania szarańczy i wiedział już, że plaga znów nadciąga nad „Róg Atryki”. Wiedział, że grozi niebezpieczeńs-



4

2



- 1 Po walkach w Didiżidzo
- 2 Dere Deua – Etiopczyk ze zdobytą na Somalijszykach bronią
- 3 Członkowie milicji ludowej
- 4 Kobieta z plemienia Oromo



Jedyny most na rzece Szebelli koło Gode został zniszczony przez wycofujące się wojska somalijskie

twem może znacznie większym niż wojna w Ogadenie i fronty walk wewnętrznych. Niebezpieczeństwem głodu.

Ognik Świętego Antoniego

W początku czerwca FAO postawiła diagnozę: północne rejony Etiopii pustoszone są przez 33 wielkie chmury szarańczy o rozmiarach od 15 do 100 kilometrów kwadratowych. Sytuacja nie była tak zła od 35 lat, a wyniszczony wojną kraj nie jest w stanie podjąć skutecznej walki z plagą. Jednocześnie eksperci FAO donieśli, że w prowincjach Wollo i Tigre rozprzestrzenił się tak zwany ognik Świętego Antoniego, czyli mikroskopijny grzybek. Spożycie zakażonego nim zboża powoduje zaburzenia w krążeniu krwi prowadzące do całkowitej blokady krążenia, gangreny – i śmierci. Alternatywą jest niejedzenie zgrzybnionego zboża – i śmierć głodowa, ponieważ innego zboża nie ma.

Specjaliści twierdzą, że klęska głodu w wymienionych prowincjach może sięgnąć rozmiarów tej z roku 1973, kiedy to zmarło ówczesnych milionów ludzi, a w konsekwencji obalono cesarza Haile Selassie.

Chłopi otrzymali ziemię i wiedzą, że trzeba jej bronić – co trzeci mieszkaniec wsi należy do milicji



Nad Etiopię znów nadciągnęły chmury. Wygranie wojny z Somalią – jak się okazuje – nie oznaczało przełomu, po którym rewolucyjna Etiopia mogłaby wejść pewną stopą na drogę rozwoju.

Wojna somalijsko-etiopska zakończyła się w sensie militarnym w połowie marca tego roku. Ale już po zakończeniu działań zbrojnych napłynęły i nadal napływają doniesienia o starciach z grupkami tak zwanego Frontu Wyzwolenia Zachodniej Somalii, który zapowiada, że będzie kontynuować walkę o oderwanie Ogadenu od Etiopii i przyłączenie go do Somalii.

Utrzymanie kontroli nad rozległym, niemal wielkości polski terytorium Ogadenu jest trudne, choć oczywiście możliwe i Etiopia, po zmobilizowaniu blisko pół miliona ludzi w formacjach milicji ludowej – którą należałoby raczej nazwać pospolitym ruszeniem – jest na to przygotowana. Oznacza to jednak, że w wypadku przedłużenia się działań wojennych powrót rdzenną ludność z obozów uchodźczych w Somalii byłby niemożliwy. Ogaden pozostawałby wtedy pusty. Ludność z etiopskich plemion Amhara i Oromo nie będzie się osiedlać na tym terytorium, ponieważ zajmuje się rolnictwem, a w Ogadenie nie ma terenów uprawnych. Natomiast dla etnicznie

somalijskich koczowników zamknięcie granicy oznacza groźbę śmierci głodowej.

Przez setki lat przepędzali oni swoje stada w porze deszczowej na tereny nizinne po somalijskiej stronie granicy, a w porze suchej, na wyższej położone i jeszcze nie wypalone słońcem pastwiska po stronie etiopskiej. Od zawarcia porozumienia politycznego między Somalią i Etiopią zależy ich egzystencja. Tymczasem wcale nie zanosi się na takie porozumienie, tym bardziej że wobec nieustępliwości Etiopii w kwestii erytrejskiej kraje arabskie coraz zdecydowanie opowiadają się po stronie Somalii, uznawanej przez nie za arabską.

Skutki nie dotrzymany obietnic

Obserwatorzy w Addis Abebie są zgodni, że bez rozwiązania problemu Erytrei nie może być mowy o umocnieniu radykalnej władzy w Etiopii. Północna prowincja Etiopii, położona nad Morzem Czerwonym, była od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku aż po rok 1941 kolonią włoską. W przeciwieństwie do prowincji centralnych, gdzie dominuje chrześcijaństwo, Erytrea jest mniej więcej w połowie zamieszkała przez ludność muzułmańską.

Okres kolonialny przyniósł Erytrei szybsze tempo rozwoju gospodarczego niż tkwiącej w głębokim



Inwazja szarańczy pogorszyła sytuację rewolucyjnej Etiopii

feudalizmie, zamkniętej na wpływy z zewnątrz Etiopii. W rezultacie w prowincji tej skupiło się 75 proc. przemysłu. Tam rozlokowane są nowoczesne gospodarstwa hodowlane, tam położone są oba większe porty: Massaua i Assab. Kilkadziesiąt lat pod odrębną administracją sprawiło, że ludność Erytrei mimo przynależności do różnych plemion wyrobiła w sobie poczucie wspólnoty i odrębności od reszty kraju.

Po porażce Włoch w walkach z armią brytyjską i etiopskimi oddziałami wyzwolenczymi administrację Erytrei przejęli Brytyjczycy. Wprowadzili w traktacie paryskim z roku 1947 Włochy wyzwały wszelkich praw do swoich posiadłości w Afryce, jednakże specjalna komisja czterech mocarstw, zajmująca się tym problemem, nie zdołała osiągnąć porozumienia w sprawie Erytrei. Rozpatrywano następujące koncepcje: całkowita niepodległość, zjednoczenie z Etiopią, utworzenie tam dwóch państw (chrześcijańskiego i muzułmańskiego), zwierzchnictwo ONZ. Niektórzy członkowie komisji proponowali nawet – wbrew zobowiązaniom paryskim – oddanie Erytrei z powrotem Włochom.

Losy Erytrei przesądził wybuch wojny koreańskiej. Stany Zjednoczone szukające sojuszników, którzy

wystaliby swoje oddziały do sił ONZ walczących po stronie Korei Południowej. 2 grudnia 1950 roku przeprowadziły w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ rezolucję o włączeniu Erytrei w skład państwa etiopskiego jako autonomicznej prowincji z własnym rządem i parlamentem. W zamian za poparcie amerykańskie w tej kwestii Haile Selassie wysłał batalion wojsk etiopskich do Korei. Nazwą koreańskiego wzgórze Kagnew, pod którym batalion ten stoczył bitwę, ochrzczono później amerykańską bazę wojskową w pobliżu Asmary.

Uchwała ONZ weszła w życie we wrześniu 1952 roku. Sprawy obrony, polityki zagranicznej, komunikacji i handlu przejmował rząd w Addis Abebie. Tylko w sprawach wewnętrznych Erytrea miała zachować autonomię – jak się wkrótce okazało – pozorną. W roku 1962 parlament erytrejski, pod naciskami reżimu cesarskiego z Addis Abeby, podjął uchwałę o pełnym zjednoczeniu z Etiopią. Status federacyjny zlikwidowano. Zostały w ten sposób zniszczone marzenia polityków etiopskich o własnym dostępie do morza, ale niemal natychmiast w Erytrei powstała antyetiopska partyzantka, a od roku 1966 działania zbrojne zwolenników niepodległości Erytrei zmuszały armię etiopską do toczenia regularnej wojny w tej prowincji. Działania organizacji erytrejskich, głoszących hasła antyfeudalne, cieszyły się rzeczą jasną poparciem miejscowej ludności. Radyka-



Szkoła w Kobałe – oświata decyduje teraz również na wieś

Asmarę od reszty Etiopii, niemal opanowując port Massaua i zmuszając Etiopię do zaopatrywania garnizonu Asmary wyłącznie z powietrza.

Różne punkty widzenia

Sukcesy na polu walki zachęciły powstańców erytrejskich do zawarcia porozumienia politycznego między trzema ugrupowaniami partyzanckimi, które w latach 1972-74 toczyły nawet między sobą walki zbrojne. Ludowy Front Wyzwolenia Erytrei i Erytrejski Front Wyzwolenia powołały Wspólny Komitet Polityczny, który ma kierować walką zbrojną o niepodległość Erytrei.

Władze etiopskie zdają sobie sprawę, że w Erytrei, w obliczu przeciwnika doskonale znającego ciężki, górzysty teren i cieszącego się poparciem miejscowej ludności, wojna może ciągnąć się przez lata, a nawet przez pokolenia. Ogłoszono wprowadzić program pokojowego uregulowania sprawy erytrejskiej, ale opierał się on na zasadach, których politycy erytrejscy nie chcą zaakceptować. Otóż stwierdzał on, że ludność Erytrei, podobnie jak inne grupy narodowościowe w Etiopii, ma niezaprzeczone pra-

wo do samorządności, czyli do autonomii regionalnej i podejmowania decyzji dotyczących własnych spraw wewnętrznych. Oznacza to prawo używania własnego języka w ramach swej prowincji i wybierania lokalnej administracji. Ta formuła nie znalazła uznania w oczach Erytrejczyków, tym bardziej że towarzyszyły jej stwierdzenia o istnieniu w Erytrei wielu narodowości, z których każda powinna otrzymać „własną samorządność”. Powstańcy erytrejscy są zdania, że proponowana autonomia dla każdej narodowości z osobna będzie prowadzić do rozczłonkowania Erytrei na drobne jednostki administracyjne. Rodzi to obawy, że ich samorządność będzie raczej fikcyjna. Z drugiej strony wygrana w wojnie z Somalią o Ogaden zachęciła kierownictwo etiopskie do próby rozwiązania militarnego. Stąd też nie powiodły się próby rokowań zarówno bezpośrednich, jak i prowadzonych za pośrednictwem państw zaprzyjaźnionych z Etiopią, jak np. Libii czy niektórych krajów obozu socjalistycznego. Podobnie jak problem Ogadenu, tak i konflikt erytrejski jest smutną spuścizną czasów kolonialnych i feudalnych. Kraje arabskie nie tylko dlatego popierają ruch erytrejski, że uważają Erytrejczyków za bliskich sobie religijnie, ale i dlatego, że za czasów

Gdy zachodzi potrzeba – milicja ludowa pomaga wieśniakom i przy spręcie kukurydzy

Zdjęcia jednorazowe: CAF

lizm wielu działaczy odstraszał też arabskie kraje reakcyjne przed aktywniejszym popieraniem tego ruchu. Sytuacja jednak zmieniła się radykalnie po obaleniu cesarza i przejęciu władzy w Etiopii przez postępowych wojskowych. Mimo wiec zakorzenionej w Erytrei nieufności do wojsk etiopskich część postępowych działaczy erytrejskich widziała możliwość zakończenia długoletniego konfliktu i rokowań z etiopskimi władzami wojskowymi w sprawie autonomii tej prowincji. Rewolucja etiopska spełniła bowiem ich podstawowe żądania antyfeudalne. Zmieniła się jednak sytuacja wśród popierających ruch erytrejski państw arabskich. Konserwatywne państwa arabskie przerażone radykalizacją rewolucji etiopskiej, a także dążące do utrzymania pełnej kontroli nad wybrzeżem Morza Czerwonego zaczęły aktywnie wspomagać ruch erytrejski. Z drugiej strony Derg niechętnie podejmował próby rokowań. Wśród polityków erytrejskich zaczęła przeważać koncepcja wykorzystania słabości Etiopii i doprowadzenia do pełnej niepodległości Erytrei. Walka w Erytrei zaczęła przybierać na sile. Pod koniec ubiegłego roku partyzanci przystąpili do zakrojonej na szeroką skalę ofensywy, w rezultacie której opanowali 95 proc. terytorium, oddając stolicę prowincji





3

cesarskich Etiopia utrzymywała bliskie kontakty z Izraelem. Cesarska polityka wewnętrzna doprowadziła do fikcji wszystkie formy autonomii. Popierając erytrejskie dążenia do niepodległości, sojusznicy z Arabii zrećnie maskują własne cele – umocnienie swych wpływów po drugiej stronie Morza Czerwonego. Z kolei formuła niepodległości jest nie do przyjęcia dla Etiopii, obawiającej się nie tylko utraty dostępu do morza, ale także i łańcucha różnych secesji poszczególnych prowincji, zapoczątkowanych oderwaniem się Erytrei.

Ten węzeł gordyjski usilowali zatem Etiopczycy przeciąć siłą. Po wygranej w Ogadenie skoncentrowali nad granicami Erytrei silne oddziały regularnej armii i milicji ludowej będącej w istocie pospolitym ruszaniem. Próby ofensywy nie powiodły się jednak, nie zdołano przełamać erytrejskiej blokady Aсмary. Etiopia pragnęła też uzyskać – podobnie jak w sprawie Ogadenu – pomoc wojskową Kuby. Stało to jednak w sprzeczności ze sformułowanymi wielokrotnie przez Fidela Castro i innych przywódców kubańskich zasadami działania kubańskiego w Afryce. Kuba – mówią oni – udziela pomocy krajom afrykańskim, które o to poproszą, tylko w przypadku agresji z zewnątrz. Tak było w wypadku Angoli, gdzie oddziały kubańskie pojawiły się w chwili, gdy jednostki pancernie RPA były już blisko Luandy. Tak było w Ogadenie, gdzie wojskowi kubańscy przybyli w kilka miesięcy po wkroczeniu regularnych wojsk somalijskich na terytorium etiopskie. Natomiast w Erytrei konflikt zbrojny ma cechy wojny domowej, z nie agresji z zewnątrz – co diametralnie zmienia sytuację w oczach Kubańczyków. Wydaje się, że rozwiązaniem, które mogłoby wreszcie przerwać przelew krwi, są zmuszone rokowania przynajmniej z tym skrzydłem działaczy erytrejskich skłonnych do współpracy z rewolucyjnym rządem Etiopii na bazie szerokiej autonomii.

Wieś – głębokie przemiany

Do listy poważnych problemów, z jakimi boryka się rewolucyjna władza w Etiopii, trzeba dodać problemy gospodarcze. Wprowadzenie przeprowadzenie reformy rolnej i zorganizowanie milicji ludowej na wsi przyczyniło się do umocnienia władzy, ale zrodziło

też pewne problemy, jak na przykład pogorszenie zaopatrzenia miast w żywność. Za czasów feudalnych chłop musiał opłacić tenutę dzierżawną w gotówce, wobec czego zmuszony był do sprzedaży dwóch trzecich swoich plonów. Kiedy przymus ten został zlikwidowany, a podatek płacony państwu wynosi 2 proc. wartości plonów, natychmiast wzrosła konsumpcja własna na wsi, a co za tym idzie – spadła towarowość rolnictwa. Nie ma bowiem na rynku atrakcyjnych artykułów przemysłowych dostępnych dla chłopów. Wprowadzone na początku roku bieżącego ograniczenia importowe jeszcze pogarszają sytuację. Zakazem importu objęto tysiąc artykułów, wśród nich takie jak wiadra i miski. Wobec wydatków wojennych i wyczerpania rezerw dewizowych kraju restrykcje te były niezbędne, ale bynajmniej nie poprawiają sytuacji gospodarczej.

W celu podniesienia wydajności i towarowości rolnictwa kierownictwo atłopańskie zamierzało przystąpić do kolektywizacji. Sprawa jest jednak ogromnie ryzykowna ze względu na stosunek chłopstwa do własności ziemi. W Etiopii od wieków posiadanie ziemi było oznaką człowieczeństwa. Nie posiadający ziemi uważani są za letoty niższe, za podludzi. Nie mają oni prawa, aby określano ich mianem *bałabat* (dosłownie: „ten, który ma ojca”). Jeszcze sto lat temu ziemi nie można było kupić ani sprzedać.

Obecnie reforma rolna nie dała chłopom – w sensie prawnym – własności ziemi, lecz jedynie prawo jej użytkowania. W świadomości chłopstwa to różniczenie jednak nie istnieje. Chłop ma poczucie, że ziemia należy do niego. Jest to podstawa poparcia władzy przez chłopstwo i kolektywizacja byłaby aktem co najmniej ryzykownym politycznie w sytuacji, w której co trzeci chłop należy do milicji lub oddziałów samoobrony i ma w ręku broń.

Jak widać, problemów Etiopii nie tylko nie brakuje, ale są wśród nich i takie, które mogą silnie zagrozić nie tylko ekipie sprawującej władzę, ale nawet całej organizacji politycznej kraju. Jest faktem, że dotychczas w żadnym państwie afrykańskim rewolucja mieniająca się socjalistyczna nie przeorała struktur politycznych i społecznych tak głęboko jak w Etiopii. Ta rewolucja jest jednak w najlepszym wypadku w połowie drogi. Najtrudniejsze lata dopiero się zaczęły.

Jacek Kalabinski



2

- 1 Przywódca Etiopii, Mengistu Haile Mariam, na uroczystej promocji oficerów
- 2 Posterunek w Dire Dawa – staranna kontrola przejeżdżających pojazdów
- 3 Kolo Dżidżi toczyły się zacięta walki – ich ślady są widoczne wszędzie
- 4 Uchodźcy z rejonów objętych wojną powracają powoli do swych siedzib – zazielenionych po ubliższych deszczach



4

Dwukrotnie w ciągu ostatnich dwu lat doszło w Zairze, jednym z najbogatszych państw Afryki, do neokolonialnej interwencji państw zachodnich, popartej przez pewne kraje afrykańskie. Głównym celem tej akcji było ratowanie rządu gen. Mobutu przed grożącym mu upadkiem. Pretekstem, który jednak posłużył do zmontowania zbrojnej ingerencji, była ochrona białych zatrudnionych w przemysłowym centrum kraju – prowincji Szaba.



Prezydent Mobutu podczas wizytacji wojsk rządowych w Szabie

ŚWIĘTE PRZYMIERZE W AKCJI

LEON ONICHIMOWSKI

Ze wszystkich niepodległych krajów Afryki Zair ma chyba najbardziej burzliwą historię. Jego niepodległość rodziła się w bólach. Wystarczy tu przypomnieć takie fakty, jak zabójstwo, wskutek intryg kolonialnych, pierwszego premiera i przywódcy kraju Patrice Lumumby, interwencję wojsk ONZ i tajemniczą śmierć ówczesnego sekretarza generalnego ONZ Daga Hammarskjölda, działalność najemników, próby oderwania od państwa jego najbogatszej prowincji, Katangi, wreszcie podsyćanie z zewnątrz wałk międzyplemiennych trwających z różnym nasileniem do 1965 roku.

Osobą, która przewodziła w rozbiściu Konga, był agent kolonizatorów, przywódca katangijskiego plemienia Lunda, Moïse Czumbe. Kierował on przy poparciu międzynarodowych monopolii ruchem secesjonistycznym w Katandze od lipca 1960 r. do momentu jego załamania się na początku 1963 r., aby następnie powrócić do władzy jako premier całego Konga.

W grudniu 1964 roku, gdy Czumbe wciąż jeszcze trzymał w swym ręku ster władzy, Stany Zjednoczone i Belgia wspólnie stłumiły zagrażający centralnemu rządowi radykalny i antykolonialny ruch, którego ośrodkiem było Kisangani. Wtedy, tak samo jak obecnie, pretekstem do bezpośredniej interwencji wojskowej były prześladowania białych w mieście. Rok później, w listopadzie 1965 r., kiedy nie można już było utrzymać dłużej skompromitowanych rządów Czumbe, władzę w kraju przejął, w wyniku przewrotu wojskowego, generał Mobutu. Kraj zmęczony przelewem krwi i brakiem stabilizacji pragnął pokoju i uregulowania najpilniejszych zadań w dziedzinie gospodarki, tworzenia nowej państwowości.

Zairyzacja i jej efekty

Wprowadzeniu przez prezydenta Mobutu twardej autorytatywnej władzy towarzyszyło głoszenie antykolonialnych haseł i urnisjętne przyciągnięcie części



Intervencja francuska w Szabie. W buszu strzelali do wszystkich, co się rusza





Prezydent Kasawubu i premier Patrice Lumumba witają króla Belgii Baudouina

Historyczne zdjęcie aresztowania Patrice Lumumby



Interwenci urządzili formalne polowania na ulicach Kolwezi. Ten człowiek podejrzany jest o sympatyzowanie z powstańcami z plemienia Lunda



Lądowanie francuskich spadochroniarzy pod dowództwem pułkownika Erula w Szabie

przeciwników przez zapewnienie im intratnych posad w rządzie. Ta taktyka przyczyniła się do zjednoczenia kraju, uspokojenia waśni międzyplemiennej.

Początkowy okres rządów generała Mobutu zbiegł się przy tym z wyjątkową koniunkturą na miedź – podstawowe bogactwo kraju. Znalazły się więc środki na przynajmniej częściowe ustabilizowanie gospodarki. Dążenia do ograniczenia roli kapitału byłej metropolii były zgodne z interesami kapitału amerykańskiego, francuskiego i RFN, które w posunięciach nacjonalizacyjnych widziały możliwość wyparcia konkurenta i stopniowego zajęcia jego miejsca. Przedstawiciele tych kapitałów przyjęli z aprobatą znacjonalizowanie złóż miedzi i powołanie państwowego przedsiębiorstwa „Gecomini”, do którego miały dostęp pozabelfgijskie kapitały i specjaliści. Polityka autentyzmu, czyli powrotu do starych tradycji afrykańskich, połączona ze zmianą nazewnictwa kolonialnego i imion w niczym nie naruszyła kapitalistycznej struktury kraju, a jednocześnie stwarzała pozory walki z kolonializmem.

W ślad za tym przeprowadzono tak zwaną zairyzację gospodarki. Polegała ona z grubsza na tym, że wywłaszczono Belgów z około 90 proc. przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i plantacji rolnych, a ich mienie przekazano Zairczykom. Efekty zairyzacji zawiodyły oczekiwania. Nie przygotowani facho-wo do nowej roli Zairczycy, wywodzący się najczęściej z elity biurokratycznej związanej z rządem Mobutu, pragnęli nie tyle rozwoju przekazanych im przedsiębiorstw, ile szybkiego wzbogacenia się. Doprowadziło to w krótkim czasie do całkowitego bankructwa wielu plantacji i przedsiębiorstw przemysłowych. Wobec nieudolnego gospodarowania zostały one znacjonalizowane.

Pod ciężarem inflacji

W latach siedemdziesiątych skończyła się koniunktura miedziana. Systematyczny apadek cen na miedź ograniczał coraz bardziej dopływ dewiz, co prowadziło do trudności i pogłębiało chaos gospodarczy kraju. Począwszy od 1974 roku inflacja sięgała już 75 procent rocznie. Niewiele zostało z rezerw walutowych z lepszych czasów – w większości zostały zużyte na zakup przedmiotów luksusu przez urzędniczą elitę. Gospodarki nie ratowały też kolejno zaciągane pożyczki. Rząd zairski winien jest ponad 2,5 miliarda dolarów USA, których nie jest w stanie spłacić. W ostatnich miesiącach wiele zakładów zostało zamkniętych lub pracuje w niepełnym wymiarze godzin, ponieważ brak części zamiennych i surowców. Ceny rosną, natomiast płace na mocy „oszczędnościowego” ustawodawstwa rządowego zmniejszono o 25 procent.

Korupcja osiągnęła stan alarmujący. Jako skromny przykład można podać rozprawę sądową przeciwko byłemu ministrowi sprawiedliwości za nieumyślne zabójstwo. Sąd stwierdził, że jego żona, która otrzymała koncesję na dostawy żywności dla więziennictwa, przywłaszczyła sobie pieniądze, a co najmniej 60 więźniów umarło z głodu. Zair, który był jednym z większych eksporterów artykułów żywnościowych, obecnie importuje je, a setkom tysięcy ludzi zagraża głód.

Pod naciskiem wierzycieli rząd Mobutu wycofał się ze wszystkich poprzednich wielkich planów zairyzacji i nacjonalizacji, proponując cudzoziemcom przejęcie gospodarki. Poczynając od roku 1976 zwrócono się do obcych firm, których mienie przedtem znacjonalizowano, by przejęły z powrotem dawne przedsiębiorstwa. Na przykład państwowe koleje i system transportu rzeczny zostały przekazane Belgom. Jest to fakt bez precedensu w Afryce Zachodniorniemieckiej firmie OTRAC wydzierzawiono teren stu tysięcy kilometrów kwadratowych jako rakietowy poligon doświadczalny.

Wielkie monopole kapitalistyczne tylko czekały takiej okazji, by usadzić się w tym potencjalnie bardzo bogatym kraju. Ogromne bogactwa naturalne, źródła energii wodnej, tania siła robocza – to są magnesy nie do pogardzenia. Okazało się więc, że



1 Miedź – podstawowe bogactwo Szaby

3 Wioska w dżungli w okolicach Kisangani

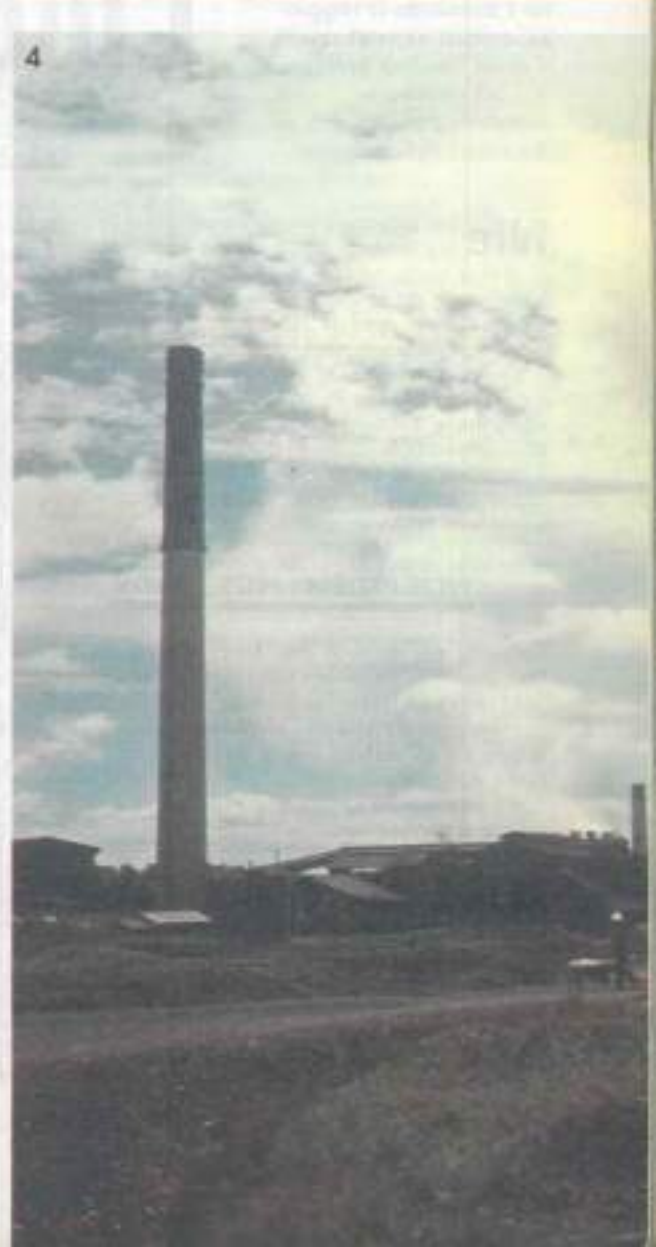
2 Tańce zespołu z plemienia Lunda na stadionie w Kinszasie

4 Przemysłowy krajobraz Szaby

Zdjęcia: Leon Gwchimowski, CAF, Paris Match, Jeune Afrique, Newsweek, J. Maguel - Afrique



3



4



2



José de San Martín

W roku 1978 przypada dwusetna rocznica urodzin José de San Martína i Bernardo O'Higginsa, dwóch największych – obok Simona Bolívara – przywódców walk niepodległościowych w Ameryce Południowej.

Nie bez przyczyny wielcy bohaterowie latynoamerykańscy mają zasięg kontynentalny. Z równą częścią oddaje się im hołd w miejscach oddalonych od siebie o wiele tysięcy kilometrów. Simon Bolívar, José de San Martín, Bernardo O'Higgins, a w czasach nam bliższych Ernesto „Che” Guevara zrozumieli, iż jedynie wolność dla całej Ameryki Łacińskiej może gwarantować spokojną egzystencję każdemu z jej krajów. Rodowód tej solidarności liczy już blisko dwieście lat. Dwieście lat – dodajmy – w ciągu których zmienili się jedynie ludzie i sprawy, o które walczone. Zrozumienie wspólnych celów pozostało.

PRZEJDZIEMY PRZEZ ANDY

Cofnijmy się do tych dni, kiedy ważyły się losy hiszpańskiego impium kolonialnego, 14 września 1811 roku z Kadyksu – największego wówczas portu na Półwyspie Iberyjskim – wypłynął żaglowiec i znalazłszy się na pełnym morzu wziął kurs na Buenos Aires, stolicę wicekrólestwa La Platy. Na jego pokładzie znajdował się 33-letni oficer, uczestnik świeżych jeszcze w pamięci batalii w Afryce, Hiszpanii i Portugalii. José de San Martín – on byłowym podróży – wracał po latach, aby służyć w potrzebie swaj ojczyźnie. Urodził się w 1778 roku w Yapeyú, na terenie misji jezuickiej, w kreolskiej rodzinie gubernatora. Zgodnie ze swym statusem społecznym wykształcenie otrzymał w Hiszpanii jako uczeń Szkoły Kadetów, którą rozpoczął mając zaledwie jedenaście lat. Odtąd młody laplatańczyk będzie doświadczenia zdobywał w bitwach i kampaniach. W drugich mar-

szach i niezliczonych potyczkach z oddziałami francuskimi najeźdźców kształtował się jego charakter, który cechowała żelazna konsekwencja. Kiedy w pierwszych dniach marca 1812 roku San Martín stawiał pierwsze kroki w wolnym już Buenos Aires, sytuacja w budującym swą niepodległość kraju nie nastrojała optymistycznie. Dość wspomnieć o stałym zagrożeniu porteños, ludzi z wybrzeża, ze strony silnie obsadzonego przez Hiszpanów Peru. Pomimo zwycięstw nad rojalistami pod Tucumán (1812 r.) generał Belgrano z trudem stawiał czoło ofensywie wojsk wicekróla. W stolicy przywódcy akcji niepodległościowej nie byli jednomyślni co do przyszłości kraju. Zwolennicy centralizmu i federalizmu scierałi się w walkach o władzę, trawili cenny czas w jałowych dyskusjach na forum Zgromadzenia Konstytucyjnego. Wydawało się, że zaabsorbowani debatami politycy zapomną o ochronie swych dotychczasowych osiągnięć. San Martín wziął w swoje ręce istotną w trudnych chwilach komendę nad wojskiem. Długotrwała wojna na rozległej wyżynie Górnego Peru (czyli w dzisiejszej Boliwii) nie rokowała nadziei na szybkie i skuteczne zakończenie. Zwycięstwo pod San Lorenzo 3 lutego 1813 r. było jedynie sukcesem chwilowym. Z czasem San Martín coraz bardziej przekonywał się o konieczności podjęcia ofensywy na innym terenie. Opracowując koncepcję uderzenia na Chile, a następnie od południa na główny bastion hiszpański – Peru, miał twardy laplatańczyk na uwadze nie tylko obronę własnej ojczyzny przed wojskami rojalistów. Już wówczas San Martín był świadom, iż jedynie całkowite wyparcie sił kolonialnych z kontynentu może zagwarantować całkowitą

niepodległość każdemu z rodzących się krajów. Już wówczas ten znakomity strateg myślał w kategoriach kontynentu, widział jego wspólny rodowód i wspólną drogę do samodzielności. Rodziła się latynoamerykańska jedność interesów. W sierpniu 1814 roku San Martín zrzędnował z dowództwa i na własną prośbę został mianowany gubernatorem Cuyo. Tu, w Mendocinie, z właściwą sobie energią przystąpił do formowania i szkolenia oddziałów, którym wyznaczył rolę wyjątkową i trudną – przejście przez Andy. Otrzymawszy jedynie symboliczne wsparcie ze strony zwierzchników z Buenos Aires, a borykając się z licznymi problemami technicznymi, zdany był San Martín na własne siły. Szczególnie palącą kwestię kadr żołnierskich, na które składała się dotychczas skromna liczba ochotników, rozwiązał gubernator Cuyo uwalniając – za obietnicę przyłączenia się do wyprawy – chłopów zatrudnionych na podandyskich plantacjach. Ten latynoamerykański Uniwersał Potrzebki dał mu wkrótce blisko czterotysięczną armię. Wśród oddziałów różnych broni (m. in. artyleria) San Martín szczególną wagę przywiązywał do szybkiej kawalerii, dobrze sprawdzonej w podjazdowych walkach z Francuzami na Półwyspie Iberyjskim. O oficjalną aprobatę Kongresu dla swoich planów musiał San Martín zabiegać znacznie dłużej, niż wskazywałaby na to szybka potrzeba ich realizacji. Prawdopodobnie dopiero proklamowanie niepodległości La Platy 9 lipca 1816 roku (nie bez usilnych zresztą namów San Martína), a więc ostateczne zerwanie z metropolią, przesądziło o losach kampanii. Pozytywną decyzję uzyskał dowódca wyprawy w kilka dni później podczas spotkania w Cordobie z Najwyższym Naczelnikiem La Platy – Pueyrredonem.

CHILE BĘDZIE SOJUSZNIKIEM

Przygotowania do ekspedycji, w myśl planów San Martína, zawierały również szczegółowe rozpoznanie sytuacji po drugiej stronie Andów. Tymczasem sytuacja w Chile komplikowała się niemal z dnia na dzień. Po pierwszych sukcesach ruchu niepodległościowego przyszły kłeski. Minęły zaledwie cztery lata od rezygnacji kapitana generalnego Francisco Garcii Carrasco (16.VII.1810), utworzenia Junty Rządzącej (18.IX.), a nieco później pierwszego posiedzenia Kongresu Narodowego (4.VII.1811), kiedy interweniujące w wolnym już kraju wojska peruwiańskie rozbiły doszczętnie pod Rancagua oddziały republikańskie. Francisco Maró del Pont, nowy namiestnik króla hiszpańskiego przy pomocy krwawych represji dawał wszelkie odruchy patriotyczne. Jedyną szansą dla ociężałych z pogromu było przejście przez góry do niepodległej już wówczas La Platy. Tu, w podandyskiej Mendocinie, oczekiwał uchodźców San Martín, w którego planach chilijscy patrioci mieli ode-



Simon Bolívar

grać doniosłą rolę. Odtąd kampania wojsk La Platy miała być nie tylko obroną słabej jeszcze samodzielności własnego kraju, ale również miała się przyczynić do powrotu chilijskich wygnańców do swojej ojczyzny.

Spośród dwóch rywalizujących ze sobą generałów z Santiago San Martín wybrał bardziej skłonnego do podporządkowania się – Bernardo O'Higginsa, oddając Carrerę i żądanie władzy Josému Miguelowi Carrerę. O'Higgins wkrótce został mianowany dowódcą jednej z brygad San Martina.

Urodzony w 1778 roku, był synem Ambrosio O'Higginsa, emigranta irlandzkiego, który potrafił dzięki swej rzetelności i pracowitości dosłużyć się stanowiska kapitana generalnego prowincji Concepción. W roku 1811 Bernardo O'Higgins zasiadł jako poseł w Kongresie. Wkrótce jednak, po rozwiązaniu ciała ustawodawczego przez Carrerę, wrócił do rodzinnego miasta. Dopiero inwazja wojsk peruwiańskich w 1813 roku miała stać się początkiem jego kariery wojskowej i politycznej. Wykazawszy duże talenty militarne w pierwszych tygodniach wojny na stanowisku komendanta oddziałów pospolitego ruszenia, awansował szybko do stopnia generała wojsk liniowych. W trakcie walk z interwentami wicekróla Peru i chilijskimi rojalistami O'Higgins wyrósł w krótkim czasie na drugą po Carrerze postać w ruchu niepodległościowym. Osiągnął pozycję, której apodyktyczny i ambitny lider chilijskich patriotów tolerować nie był w stanie. Rodził się konflikt; jego rozwiązanie miało nastąpić za sprawą San Martina dopiero w Mendoza.

SANTIAGO JEST WOLNE

Dobierając moment najodpowiedniejszy do marszu przez wysokie góry, w połowie stycznia 1817 roku, a więc w środku lata, blisko pięciotysięczna armia wyruszyła w czterech kolumnach na andyjską wyspę naczyną. Z górą dwa tygodnie trwała uciążliwa przeprawa, której trudy zacieśniły więzi przyjaźni między żołnierzami argentyńskimi i chilijskimi. Dla wielu jednak droga Los Patos miała być ostatnią w życiu. 27 stycznia kolumny zeszyły w podgórskie doliny, gdzie uformowały się w dwie brygady pod dowództwem generałów O'Higginsa i Solera. Pierwsze starcia nastąpiły zaledwie w kilka dni później. W obliczu koncentracji wrogich wojsk San Martín zarządził połączenie się brygad, które nastąpiło 8 lutego na rozległym płaskowyżu Chacabuco. Cztery dni później rozpoczęła się bitwa, która miała otworzyć armii wyzwolenczej drogę do stolicy. Założenia taktyczne San Martina potwierdziły się w praktyce: pomimo opóźnienia się wsparcia artyleryjskiego, oskrzydlający manewr kawalerii zapewnił świetne zwycięstwo. W dwa dni później Santiago znalazło się w rękach wyzwolicieli, a O'Higgins został wybrany Najwyższym Naczelnikiem.



José Sucre



Bernardo O'Higgins

Rządy w kraju, w którym wojna toczyła się nadal, nie były łatwe. Jeszcze z górą rok trzeba było czekać na zupełną niepodległość. Tymczasem utrzymanie armii wymagało coraz to nowych nakładów finansowych, które spadały na barki wyczerpanej długotrwałą wojną ludności. Proklamowanie 18 lutego 1818 roku niepodległości Chile na krótko potrafiło wywołać entuzjazm społeczeństwa. Wydawało się, że krwawa wojna ma się ku końcowi. Zaledwie ostatni opór Hiszpanów został złamany 5 kwietnia w bitwie pod Maipo (jedynie na wyspie Chiloe rojalści utrzymali się aż do 1826 r.). Wypiełowi, zgodnie z dalekosiędnymi planami San Martina, szykowali już armię do marszu na północ. Nie będzie niepodległej Ameryki – przypominał on – dopóki nie padnie kolonialna cytadela kontynentu – Peru.

Pamiętając kosztowny i bezowocny wysiłek żołnierzy La Platy w Górnym Peru, drogę do celu widział San Martín w staku od strony morza. Przygotowań do wyprawy nie przerwał konflikt dowódcy z rządem argentyńskim, po którym San Martín przeszedł na służbę Chile. Trzon armii stanowili weterani andyjskiej przeprawy oraz ochotnicy irlandzcy, angielscy i północnoamerykańscy. W końcu listopada 1818 roku do Valparaíso przybył angielski szwernik, lord Thomas Cochrane, któremu powierzono rozbudowę floty chilijskiej. Wkrótce na redzie portu stało trzynaście okrętów wojennych gotowych do wyjścia w morze.

KIERUNEK: PERU

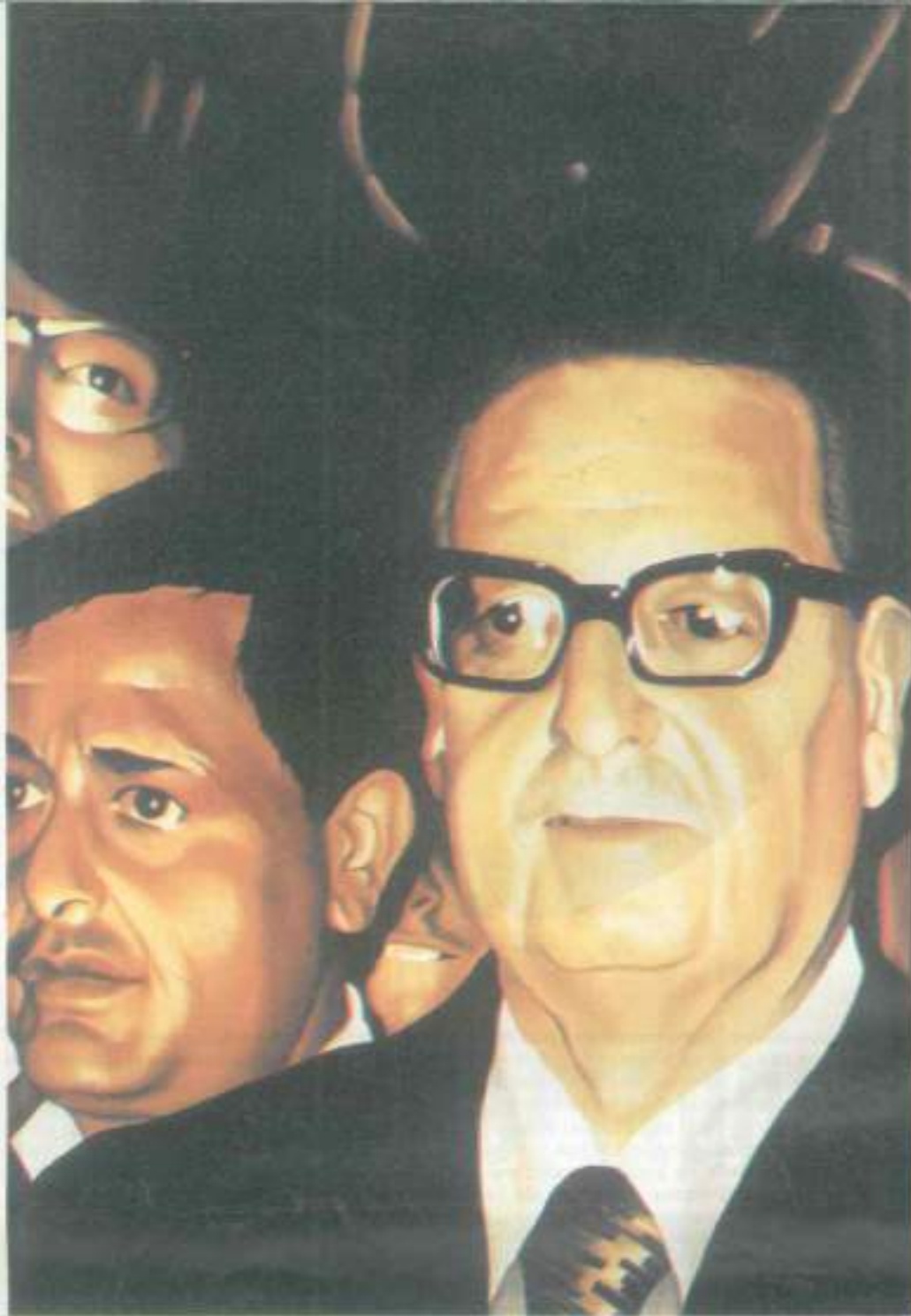
8 września 1820 roku, nie opodal oddalonego o sto kilometrów od Limy Pisco, wyładował czteropięciotysięczny oddział armii wyzwolenczej. Niosących wolność żołnierzy miało spotkać jednak rozczarowanie. Klęska powstania Tupak Amaru II i nieudane spiski przeciw Hiszpanom w pierwszych latach XIX wieku przychyliły królewskiego namiestnika Abascala do neutralizacji częściowo Indian upatrujących większe zagrożenie ze strony zamożnych Kreolów niż hiszpańskich administratorów. Blisko rok trwały zacięte walki z oddziałami wicekróla Pezuella uwięzione 12 lipca 1821 r. zajęciem Limy. Nieco ponad dwa tygod-

nie później San Martín proklamował niepodległość Republiki Peru, otrzymując w dowód wdzięczności tytuł Protektora.

Wdzięcznością tą cieszył się San Martín niezbyt długo. Żołnierska szorstkość, konsekwencja i bezkompromisowość nie sprzyjały porozumieniu z miejscową elitą. Na dodatek obawiająca się utraty swych wpływów i drżąca na samą myśl o spodziewanych liberalnych reformach bogata część społeczeństwa coraz wyraźniej odsuwała się od uwielbianego dotychczas bohatera. Wierni swemu dowódcy weterani z czasów powoli wykruszyli się. Ród opór rojalistów w górnych rejonach Peru, a wraz z trudnościami rosło zniechęcenie i rozgoryczenie San Martina, który daleki był od dyktatorskich zapędów, o jakie go posądzono. Decyzja opuszczenia niewdzięcznego kraju miała jednak nastąpić za sprawą owianego sławą Simona Bolívara – wyzwoliciela północnej części kontynentu. Podczas spotkania dwóch bohaterów w Guayaquil w połowie 1822 roku San Martín ostatecznie oddał przyszłość oswobodzonego przez siebie kraju w ręce silniejszego Bolívara; ostatecznie o wyzwoleniu kraju zadecydowała dopiero bitwa pod Ayacucho 9 grudnia 1824 r.; San Martín niebawem w powrocie do Limy, nie chciany w Peru, zapomniany w Chile i La Placía, udał się na dobrowolne wygnanie do Europy. Zmarł 17 sierpnia 1850 roku w Boulogne-Sur-Mer (Calais).

Nielepszy los spotkał Najwyższego Naczelnika w Chile. Pomimo szeregu demokratycznych reform, a może właśnie w ich wyniku, twarde rządy O'Higginsa rodziły coraz to nową opozycję. Próby rozwoju świeckiej oświaty, zniesienie tytułów szlacheckich wreszcie podniesienie podatków potrzebnych na prowadzenie dalszych działań wojennych przysporzyły mu wrogów rekrutujących się głównie z wpływowych kręgów konserwatywnej oligarchii wiejskiej, kleru i wojska. 28 stycznia 1823 r. pod naciskiem *cabildo* abiearto Bernardo O'Higgins zrzekł się władzy odchodząc na wygnanie do Peru, gdzie zmarł w roku 1842.

W jednym z ostatnich listów do San Martina, przyjaciela i towarzysza walk, pisał 9 sierpnia 1823 roku rozgoryczony: „... smutna jest natura ludzka, która nie docenia ofiarowywanego mu dobra, dopóki go nie straci”.



1

Tekst: ELŻBIETA GÓRSKA

Zdjęcia kolorowe: ZDZISŁAW SOWIŃSKI

SOLIDARNOŚĆ

11 września upłynęło pięć lat od faszystowskiego zamachu w Chile. Do protestu całej postępowej ludzkości przeciw zbrodniom junty Pinocheta dołączył niedawno głos polskich artystów-plastyków, którzy ofiarowali bardzo cenną kolekcję swoich prac Muzeum Solidarności im. Salvadora Allende.

Inicjatywa należała do Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi Ryszarda Stanisławskiego, którego energia nie jednej już patronowała akcji.

Po wystawie oprowadza mnie kustosz działu nowoczesnego malarstwa i rzeźby, pani Janina Ładnowska. To przez jej – dosłownie – ręce przeszło każde z 56 eksponowanych na wystawie dzieł. – Jaka jest ich wartość materialna? – pytam. – Około 800 tys. zł. Ważniejsza jest jednak wartość artystyczna, społeczna, emocjonalna tych obrazów, rysunków, grafik, fotografii. Ważniejsze jest to, że nie odmówił inicjatywie muzeum ani jeden artysta.

– Ale przecież czasu było niewiele, zapelowaliśmy w grudniu, a ekspozycje otwarto już na początku czerwca...

Bo wszyscy mieli wielkie do tej sprawy serce, jak wynika z opowieści Janiny Ładnowskiej. Najpierw zredagowano list pisząc, że z inicjatywy postępowych artystów, jeszcze za życia Salvadora Allende, powstała idea utworzenia muzeum dzieł sztuki, które byłoby wyrazem solidarności artystów z wysiłkiem narodu chilijskiego w postępowym przekształcaniu kraju. Po zamachu stanu nie zaprzestano gromadzenia kolekcji. Obecnie tymczasową siedzibą muzeum jest Hawana, a w jego komitecie znajdują się tak wybitni twórcy jak Jean Cassou, Julio Cortazar, Juan Miró, Louis Aragon, Luigi Nono, Rafael Alberti. Ofiarowała swe dzieła muzeum prawie cała światowa czołówka, a więc m.in. V. Vasarely, P. Soulage, J. Miró, A. Tapis, R. Matta, J. Soto, J. Le

2





3

- 1 Andrzej Sedowski – „Choroby naszego wieku – zdeptana demokracja – w hołdzie prezydentowi Allende”, 1974
 2 Józef Stern – „Tablica czerwocka”, 1976

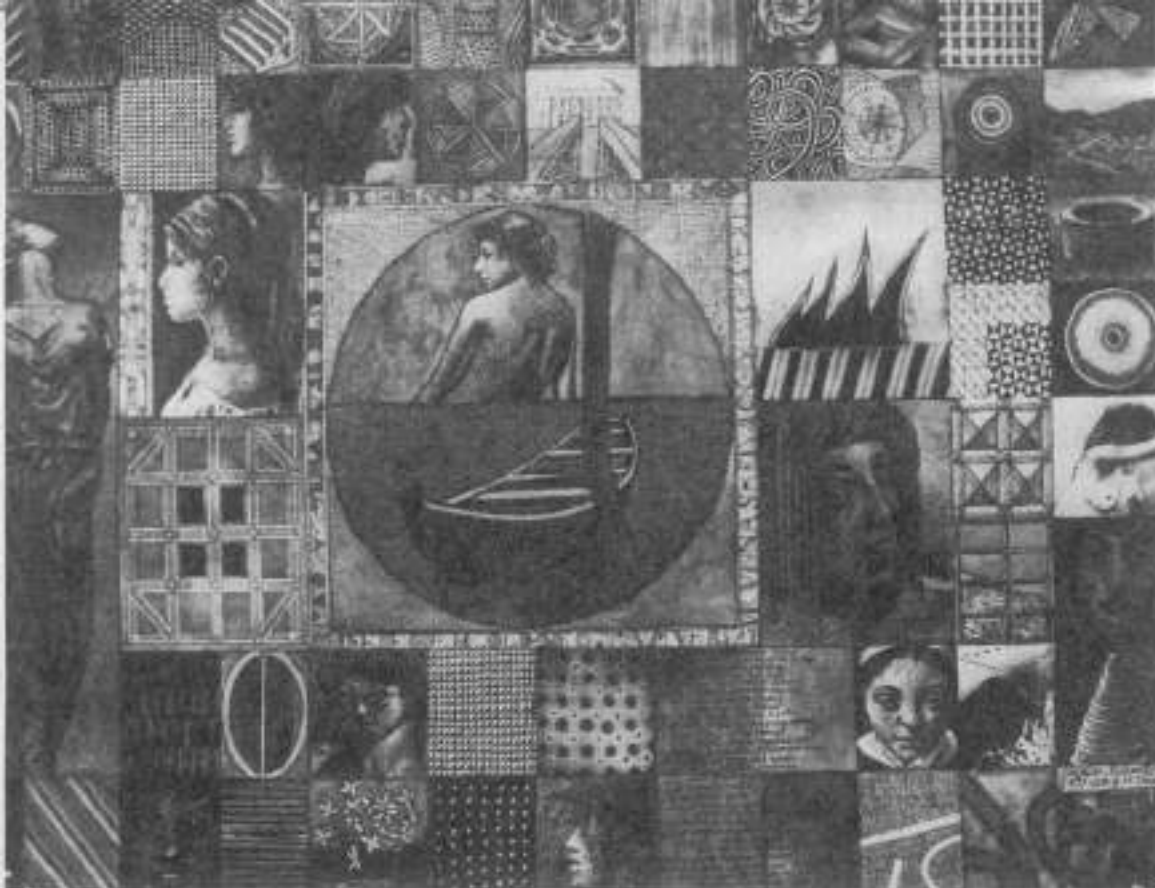
- 3 Andrzej Strumiłło – „Che Guevara”, 1977
 4 Benon Liberski – „Łódź”, 1964-65
 5 Jerzy Nowosielski – „Monografia nieznanego kobiety”, 1977

4



5



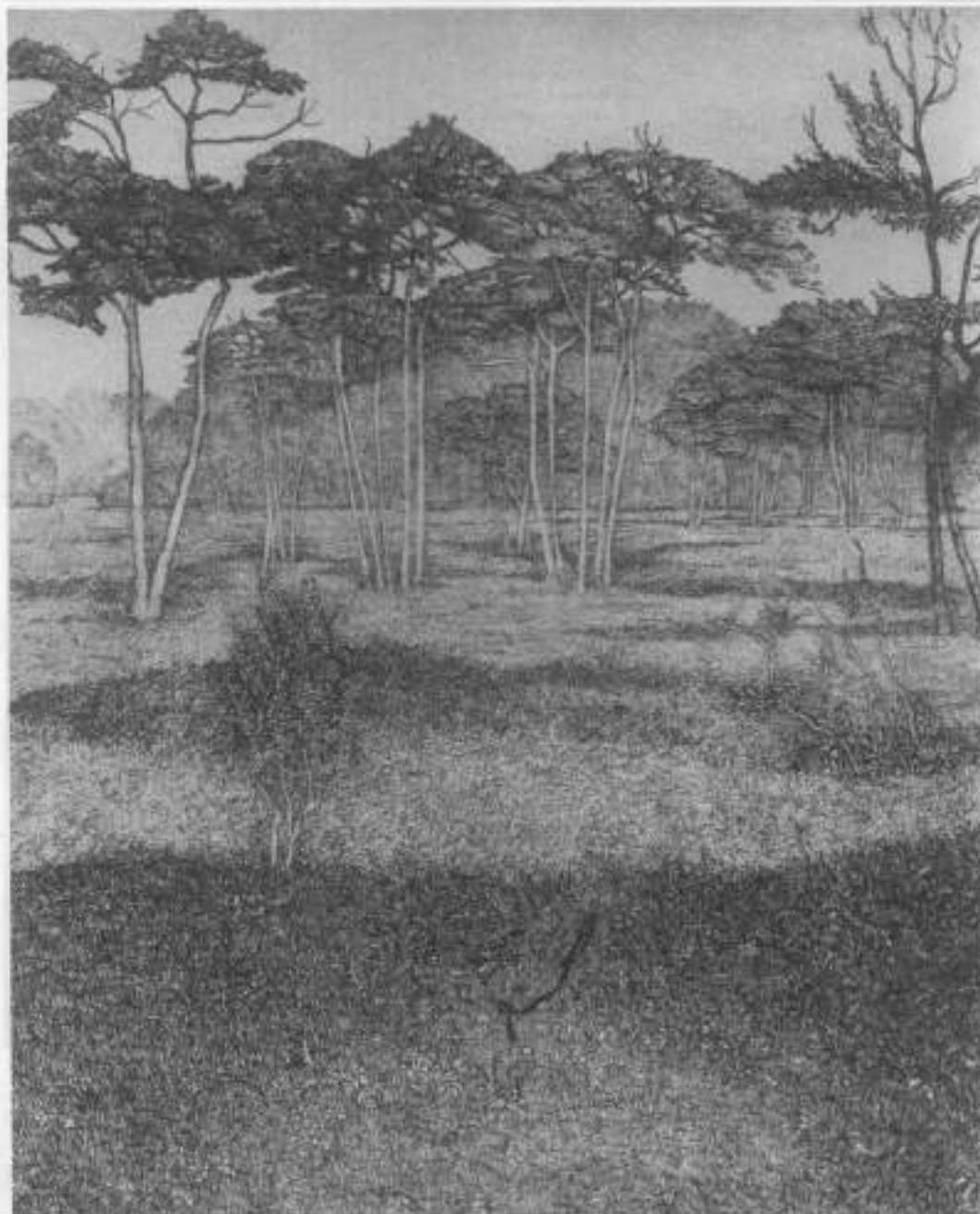


1

Parc, A. Saura, A. Calder... Muzeum ma nadzieję, że nie zabraknie wśród ofiarodawców i artystów polskich. Podpisał: Ryszard Stanisławski, dyrektor. Listu nie wysłano pocztą. Pani Janina Ładnowska dzwoniła do Łodzi, Warszawy, Krakowa i umawiała się z artystami „w ważnej sprawie”. Następnie je-

chała – i najczęściej wracała od razu z obrazem bądź za kilka dni wysyłano „umysłowego”, aby odebrał dar. Bywało różnie. Wybierali wspólnie, proponowali sami artyści. – To świetnie – powiedział na przykład Andrzej Strumiłło – właśnie mam coś, co wydaje mi się odpowiednie do takiej kolekcji. I za-

2



3

szych...? Albo „Sygnał” Jerzego Tchorzewskiego – czy nie wydaje się dramatycznym symbolem zagłady...? „Druk słońcem – zachód” i „Druk słońcem – wschód” Wojciecha Krzywobłockiego także narzucają nową interpretację: oto wielka, niedostępna, czarna góra, nad nią – mała, jeszcze złote słońce... „Ochrona środowiska naturalnego”, trzy piękne grafiki Lucjana Mianowskiego pokazują stopniową zagładę ziemi, jej dehumanizację. Nawet „Pejzaż wiosenny” Leszka Rogi zdaje się być w tym kontekście wspomnieniem, pamięcią o tym, co było, chociaż dla autora hiperrealistycznej akwaforty mógł to być w zamysle jedynie ładny obrazek, stanowiący kanwę dla formalnej doskonałości jego prac.

– Były zapewne kryteria, którymi się kierowano nawiązując kontakt z artystą?

Naturalnie. Przede wszystkim – zwrócono się do tych, z którymi muzeum stale współpracuje, ma ich prace w swojej kolekcji. Drugim założeniem było, aby podarowane prace były charakterystyczne dla twórczości artystów i jeśli nie konkretne, to choćby w klimacie nawiązywały do specyficznego charakteru kolekcji. Żeby wyrażały ogólne problemy ludzkości, sprawy społeczne, żeby były związane z ochroną wartości humanistycznych. Szkoda, że nie do wszystkich z wytypowanych artystów udało się dotrzeć. Na przykład do Władysława Hasióra pani Ładnowska w umówionym dniu dojechać nie mogła: rozpadła się śnieżycą. A potem – wyjechał, trudno go było



4



5



6

spotkać. Innych... pożalowano. Bo jeśli artysta maluje bardzo mało, czy godzi się go prosić o darowanie trudu wielu nieraz miesięcy...?

Ale i ten zestaw jest znakomity. Wspomniały przekrój sztuki polskiej, jej dzisiejszych tendencji. Wspomniamy wernisaż z początku czerwca. Przybył nań Clodomiro Almeyda, sekretarz wykonawczy Jedności Ludowej, były minister spraw zagranicznych w rządzie Allende. Powiedział, iż jest ta kolekcja największym dotąd darem dla Muzeum Solidarności im. Allende, że imię naszego kraju na zawsze się z tym muzeum połączy.

Pisze Miria Contreras, sekretarz Muzeum: „Zamach

stanu przerwał brutalnie ten gest (napływanie dzieł sztuki do Muzeum Solidarności - E.G.), unikatowy w kronikach historii sztuki. Jak za najlepszych czasów hitleryzmu milicjanci fotowali przejęcie władzy paląc książki i niszcząc obrazy. Wiele dzieł z „Muzeum Solidarności” poległo tak, jak starzy kombataneci. Inne zostały skradzione, jako łupy wojenne. Jeden Miro wisi dziś na ścianie jadalni pewnego generała. Jeden mobil Caldera, milczący, kofysze się w ogrodach jakiegoś pułkownika. Budynek, który był siedzibą muzeum, przekształcono na koszary...”

Elżbieta Górka



8



7

- 1 Zbigniew Makowski
- „Omnes eodem”, 1977
- 2 Leszek Rózga
- „Pejzaż wiosenny”, 1976
- 3 Wojciech Krzywobłocki
- „Druk słoneczem - zachód”, 1976
- 4 Tadeusz Kanter
- „Czarna torba”, 1963
- 5 Stefan Gierowski
- „Obraz CCCCVIII”, 1977
- 6 Wiesław Garbolinski
- „Akt II”, 1967
- 7 Jerzy Tehórzewski
- „Sygnał”, 1978
- 8 Jan Biedyszak
- „Podwójne otwarcie”, 1971
- 9 Jerzy Krawczyk
- „Życie...”, 1966



9

ŚWIĘTE PRZYMIERZE W AKCJI

Ciąg dalszy ze str. 14

prezydent Mobutu jest wygodny dla wielkich monopolu kapitalistycznych. Przy całej jego demagogii społecznej Zachód wie, że może na nim polegać. Dowiódł on tego również podczas neokolonialnej interwencji w Angoli w 1975 r., udzielając militarne go poparcia FNLA i UNITA, które zaatakowały wspólnie z wojskami RPA siły walczącej o pełną niepodległość kraju MPLA. Po nieudanej interwencji, kontynuuje on nadal uzbrajanie i wysyłanie band zbrojnych na teren Angoli, utrudniając jej pokojowy rozwój.

Trudna sytuacja gospodarcza, chaos i korupcja oraz niemal całkowity upadek autorytetu rządu spowodowały ogromny wzrost napięcia społecznego w kraju. Mnożą się spiski przeciwko rządowi Mobutu, notuje się wzrost przestępczości, wybuchają lokalne powstania.

Najpoważniejszym z nich były wydarzenia w Szabie.

U źródeł wydarzeń w Szabie

Szaba, zwana dawniej Katangą, jest najbogatszą prowincją Zairu. Nazywa się ją nawet swoistym fenomenem geologicznym. Pod ziemią pokrytą buchem i wysokimi termitierami kryją się ogromne złoża niezwykle bogatej rudy miedzi, kobaltu, cynku, manganu, uranu, złota i diamentów. Tu też są skoncentrowane główne inwestycje międzynarodowych monopolu kapitalistycznych. Nic też dziwnego, że już w roku 1960 podjęto próbę oderwania Katangi. Już wtedy wśród plemienia Lunda szerzono niechęć wobec plemion z północy, a jednocześnie roztaczano miraż niezależności i dobrobytu w separatystycznym państewku. Pod naciskiem światowej opinii publicznej manewry te zakończyły się fiaskiem. Katanga pozostała prowincją Zairu.

Niektórzy członkowie plemienia Lunda, a wśród nich tzw. żandarmeria Moise Czombego, aktywnie zaangażowani w ruch secesjonistycznym w obawie przed represjami rządu centralnego przenieśli się na tereny sąsiedniej Angoli, wówczas pod panowaniem portugalskim.

Umocniały się w Zairze rządy popieranego przez wielkie monopole prezydenta Mobutu, a z drugiej strony kolonizatorzy portugalscy zainteresowani w zyskach z bogactw Katangi przewożonych linią kolejową biegnącą przez Angolę do portu w Bengueli, pilnowali uciekinierów, aby nie stwarzali kłopotów rządowi w Kinszasie.

Sytuacja uległa zmianie w ostatnich latach. Wkroczenie wojsk Zairu wspierających rozłamowe organizacje FNLA i UNITA do Angoli, postawiło uciekinierów przed koniecznością samoobrony. Klęska interwencyjnych wojsk i chaos gospodarczy w Zairze obudziły wśród nich nadzieję powrotu. Dawnych żandarmów nie pozostało jednak wielu. Większość opozycji stanowili ludzie młodzi. Jednocześnie wśród uciekinierów rosło coraz bardziej przekonanie, że samymi siłami plemienia Lunda nie zmieni się sytuacji w kraju. Obalenie rządu centralnego Zairu może być możliwe jedynie przy współdziałaniu wszystkich plemion i przy uwolnieniu się spod obcej kurateli.

Na widowni Front Wyzwolenia

Na tym tle zrodziła się organizacja Frontu Wyzwolenia Konga. Na jej czele stanął generał Nataniel Mbumba. Pierwszą próbę powrotu na tereny Szaby

podjęły wojska Frontu Wyzwolenia Konga 8 marca 1977 roku, atakując jeden z większych ośrodków przemysłowych Szaby – Kolwezi. Już wówczas okazało się, że akcja Frontu spotkała się z sympatią ludności Szaby. Wojska zairskie stawiały niewielki opór, dużo żołnierzy rzuciło broń bądź przechodziło na stronę powstańców.

Zaniepokojony rozwojem sytuacji rząd Mobutu zwrócił się o pomoc do Stanów Zjednoczonych, Francji, Belgii i Maroka. Okazało się jednak, że nie wystarczy przystanie broni i sprzętu. Pod pretekstem więc, że po stronie powstańców biorą udział wojska kubańskie i że korzystają one z pomocy ZSRR, wysłano do Kolwezi przy pomocy Stanów Zjednoczonych i Francji wojska marokańskie.

Powstańcy nie przygotowani do odparcia zmasowanych wojsk interwencyjnych rozproszyli się po terenie, przechodząc do partyzanckich form walki. Wojska interwencyjne zostały wycofane. Mimo wielu oskarżeń rząd Mobutu nie był w stanie przedstawić żadnych dowodów udziału Kubańczyków bądź też pomocy ZSRR dla powstańców.

Pierwsza wojna w Szabie zakończyła się 26 maja 1977 roku. Blisko 70 tysięcy mieszkańców Szaby w obawie przed represjami wojsk zairskich uciekło przez granicę do Angoli. Granica ta nie jest strzeżona, a po obu jej stronach mieszkają ludzie należący do tego samego plemienia.

W maju bieżącego roku Front Wyzwolenia Konga podjął nową próbę ataku na Kolwezi, licząc tym razem na pomoc i poparcie innych prowincji Zairu, także niezadowolonych z rządów Mobutu. Zajęcie przez powstańców Kolwezi i wielu innych miejscowości wywołało panikę w Kinszasie. I podobnie jak przed rokiem gen. Mobutu uderzył na alarm, że jego kraj padł ofiarą agresji potężnych sił Angoli, Kuby i ZSRR. Zwrócił się ponownie do USA, Francji, Belgii, Maroka i niektórych państw frankofońskich Afryki.

Interwencja i preteksty

Tym razem długo się naradzano w sztabach państw Zachodu. Nie tylko nikt nie uwierzył w tego typu sensacje, ale brak było najmniejszego nawet dowodu zaangażowania postronnych państw w powstanie w Szabie. Znalaziono więc nowy pretekst do interwencji – ochronę życia i mienia obywateli Zachodu pracujących w Szabie. W Kolwezi wyładowali spadochroniarze z Francji i Belgii, a później wojska Maroka.

Z relacji korespondentów zachodnich obecnych w Szabie wynikało, że w początkach akcji powstańczych rzeczywiście ucierpiała część białych, stawiających opór zbrojny, bądź też wrogo ustosunkowanych do sił powstańczych, albo też przypadkowych ofiar podczas strzelaniny. Najwięcej jednak ucierpiała biała ludność Szaby wskutek późniejszego zachowania się rządowych wojsk zairskich, które dopuszczały się masowych gwałtów i grabieży. Ci obserwatorzy potwierdzali też, że rząd Mobutu nie cieszy się żadnym prestiżem, podczas gdy powstańcy mają poparcie miejscowej ludności. Powtórzyła się znów sytuacja sprzed roku. Akcje pacyfikacyjne wojsk interwencyjnych polegały na przeczyszczeniu buszu

i strzelaniu do wszystkiego, co żyje. Ofiarą pacyfikacji padła przede wszystkim duża część ludności cywilnej, nie zaangażowanej bezpośrednio w powstanie.

Przy okazji ujawniły się dość ostre sprzeczności pomiędzy Francją a Belgią. Coraz bardziej oczywiste stawały się cele zbrojnej interwencji kamuflujące – obok ratowania reżimu Mobutu – walkę konkurencyjną o bogactwa Szaby pomiędzy państwami Zachodu. Ujawnione też zostały zakulisowe sprawy związane z wydzierżawieniem RFN części obszaru na poligon doświadczalny dla rakiet.

Zaczęto także montować front prozachodnich państw afrykańskich. Wysunięto więc ideę utworzenia panafrkańskich sił zbrojnych powołanych do interwencji w interesie zagrożonych reżimów, rzekomo celem ich obrony przed „zagrożeniem z zewnątrz”.

Wielka kompromitacja

Jednocześnie z interwencją w Szabie zwołano 13 czerwca br. w Brukseli konferencję poświęconą sprawie uzdrowienia gospodarki zairskiej. Tym samym przyznano oficjalnie, że gospodarka Zairu jest śmiertelnie chora. Kogo wobec tego ratowano? Człowieka, który doprowadził do bankructwa swój kraj? Komu więc mają służyć tak zwane siły panafrkańskie? Czy do obrony tego typu zbankrutowanych marionetek?

W wyniku wielostronnych zabiegów z udziałem Francji i USA postanowiono udzielić rządowi Mobutu pożyczki oraz powołać przedstawiciela Międzynarodowego Funduszu Walutowego do spraw wydatków i gospodarki Zairu. Jest to więc w pewnej mierze nawrót do starych metod kolonialnych, tyle że w bardzo zawołowanej formie.

W sumie więc cała akcja Francji, USA i sprzymierzonych z nimi państw w Zairze zakończyła się wielką kompromitacją:

- Nikt nie stwierdził jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz w powstanie w Zairze. Było ono wewnętrzną sprawą tego kraju. Wobec tego cała akcja propagandowa rozpętana w świecie wokół poparcia dla powstańców ze strony Angoli, Kuby i ZSRR poniosła całkowite fiasko. Jak zresztą w tym świetle tłumaczyć interwencję Francji w sprawie wewnętrzne Czadu czy też Mauretanii?

- Zwołana przez Zachód przy inspiracji USA, Francji i Belgii konferencja w sprawie ratowania gospodarki Zairu wykazała, że obecne rządy w Zairze są przeżarte korupcją i nieudolnością. Ratowanie za wszelką cenę tego rządu świadczy jednak, że nadal jest on przydatny dla neokolonialnych celów Zachodu.

- Taki sam cel ma również podjęta przez Francję akcja montowania w Afryce nowego „Świętego przymierza” oraz powołanie tak zwanych sił panafrkańskich poza Organizacją Jedności Afrykańskiej. Mają one na celu utrzymanie wygodnych dla neokolonizatorów reżimów.

- Na tym tle uwidatniła się również rola Chińskiej Republiki Ludowej, która poparła akcję neokolonialną, wysyłając uzbrojenie i sprzęt dla reżimu.

Leon Onichimowski

Exodus rodzin Europejczyków zatrudnionych w Szabie. Ich ochrona posłużyła za pretekst do interwencji



MISIEM YIPINTSOI:

„Sztuka jest formą rozmyślenia...”

Polskę odwiedziła wybitna rzeźbiarka tajlandzka, Misiem Yipintsoi, przewodnicząca narodowej sekcji działającego pod auspicjami UNESCO Międzynarodowego Stowarzyszenia Sztuki.

Karierę artystyczną rozpoczęła w roku 1948, mając wówczas 42 lata. Od tej pory uczestniczyła w wielu wystawach w Bangkoku, zdobywając trzykrotnie złoty medal, czyli pierwszą nagrodę w dziedzinie malarstwa, przyznawaną plastynom tajlandzkim. W czasie pobytu w Polsce Misiem Yipintsoi zwiedziła muzea i galerie sztuki współczesnej. Spotkała się z przedstawicielami Związku Polskich Artystów Plastyków, wyrażając duże zainteresowanie rozwinięciem współpracy środowisk artystycznych Tajlandii i Polski.

Oto nasza rozmowa z Misiem Yipintsoi.

– Czym zajmowała się pani przed podjęciem kariery artystycznej?

– Nim zaczęłam malować i rzeźbić, zajmowałam się prowadzeniem domu i opieką nad pięciorgiem dzieci. Mąż mój był biznesmenem i stąd utrzymywaliśmy kontakty z całym światem, z czego wynikały dla mnie dodatkowo obowiązki przyjmowania gości.

– Zaczęła pani od rysunku i malarstwa, by zająć się potem wyłącznie rzeźbą. Co skłoniło panią do tej zmiany?

– Malarstwem zajęłam się dość późno, kiedy dorosły już dzieci. Malowałam przez siedem lat, ale nie zadowalały mnie moje obrazy. Nie dostrzegałam w nich oznak jakiegokolwiek rozwoju. Nie zmieniły się na nich kolory i źródła inspiracji były wciąż te same. Zrezygnowałam więc z malarstwa i od przeszło dwudziestu lat zajmuję się rzeźbą. I myślę, że nie grozi mi znalezienie się w ślepych zaułku, tak jak to było z malarstwem, ponieważ mam wciąż nowe pomysły przyszłych prac.

– Stwierdziła pani w przedmowie do katalogu swoich prac, że urodziła się pani w Tajlandii, jest pani buddystką i sztuka jest dla pani formą rozmyślenia. Jak należy to rozumieć?

– Kiedy czuję się nieszczęśliwa lub jestem w stanie depresji, wtedy zawsze idę do mojego studia, zaczynam pracować i koncentrować się na tym, co robię. Zapominam wtedy o troskach i zmartwieniach, zagłębiając się w medytacji. I w tym stanie koncentracji nadchodzi mnie pomysły, a umysł mój staje się otwarty. To wiąże się zresztą poniekąd z moją filozofią życia. Buddyzm skłania bowiem człowieka do brania życia ta-

kim, jakim ono jest: dobre czy złe, szczęśliwe czy nieszczęśliwe... Trzeba przyjmować los taki, jaki nam życie zsyła. Nie buntuję się przeciw mojemu życiu, ale akceptuję je w całości. Przeżywałam bardzo głęboko tragedię jednego z moich dzieci, które zachorowało na paraliż dziecięcy, ale rozumiałam, że nie poza wyrażaniem współczucia nie poradzę.

– Malarstwo pani, zwłaszcza drzewa, przypomina mi bardzo van Gogha, którego sztuka musiała wyrzeźbić duży wpływ na pani sposób artystycznego wyrazu. Co inspirowało pani rzeźbę, która będzie bardzo nowoczesną zdradza swój typowo tajski rodowód?

– Rzeczywiście, bardzo lubię szkołę impresjonistów, w szczególności van Gogha i cieszę się, że zauważył to pan w moim malarstwie. Nie patrzę jednak w przeszłość, która jest na pewno kreatywna w sensie artystycznym. Uwielbiam malarstwo wraz z jego przeszłością, ale staram się wybiegać w przyszłość. Lubię więc malarstwo abstrakcyjne, ale nigdy w mojej twór-



„Matka i dziecko” (brąz)

czosci do niego nie doszłam. W sensie artystycznym liczy się dla mnie nie przeszłość czy przyszłość, ale terażniejszość. Dopatrywał się pan w mojej rzeźbie rzeczywiście tajskiego kolorytu? To jest możliwe, bo przyznam się, że im więcej podróżuję po świecie, tym bardziej doceniam mój kraj rodzinny, co podświadomie, być może, wyrażam potem w mojej rzeźbie. Inspirowała ją terażniejszość, współczesność...

– Celem, jaki stawiała sobie tradycyjne malarstwo tajskie, było przedstawienie motywów religijnych oraz mi-

toologii buddyjskiej, czego dowodem są malowidła ściennie w klasztorach. Jaki cel stawia sobie współczesne malarstwo tajskie?

– Nasi współcześni artyści są w stanie poszukiwać własnego sposobu wyrażania samych siebie. To prawda, że artyści nasi, zwłaszcza malarze, zamknięci byli w kręgu mitologii buddyjskiej. Wyszli jednak w końcu poza ów zamknięty krąg tradycji i starają się wyrazić swoją osobowość artystyczną w sposób wolny. Chcą zidentyfikować się z innymi artystami na świecie.

– Wiele różnych stylów cechowało sztukę tajską w ciągu wieków. Czy i jaki styl dominuje w tej sztuce dzisiaj?

– Dzisiejsza sztuka tajska nie jest już stylizowana, jak to było dawniej. Wyjeżdżając na studia do bardzo różnych krajów Europy i Ameryki artyści nasi ulegają w pewnej mierze tamtejszym stylom malarskim. Kiedy wracają do kraju, wyzwala się zwykle spod tych wpływów i poszukują włas-



Rzeźbiarka przy pracy

krajów. Każdy natomiast ma dostęp do publikacji, katalogów i literatury na tematy sztuki. A literatura ta pochodzi z bardzo różnych stron świata i pod jej wpływem artyści nasi poddają się różnorodnym wpływom i kierunkom artystycznym.

– Którego z dzisiejszych artystów uważa pani za najbardziej reprezentatywnego dla współczesnej sztuki tajskiej?

– Bardzo interesujący i znany jest Tawan Dachanee. Jego malarstwo odznacza się bardzo stonowaną kolorystyką, która ogranicza się często nawet do bieli i czerni. To jest bardzo głębokie malarstwo! Dla mnie jest ono emanacją buddyjskiej filozofii życia. Przychodzimy na świat, starzejemy się i odchodzimy. I to jest właśnie buddyjska koncepcja ewolucji życia. Religia nasza nie rozbudza ludzkich ambicji i dążeń do osiągnięcia bogactwa czy innych sukcesów życiowych, ponieważ przerosła ambicji czyni człowieka nieszczęśliwym. Buddyzm zaleca umiar we wszystkim. I ten umiar znajduje na pewno swój wyraz w malarstwie Tawana.

– Czy istnieje w Tajlandii narodowa szkoła malarstwa i rzeźby?

– Tak, mamy w Bangkoku uniwersytet Silpakorn, który jest uczelnią typowo artystyczną. Są również inne, podobne uczelnie, ale uniwersytet Silpakorn wywiera wpływ szczególnie na naszą sztukę współczesną, stanowiąc coś w rodzaju narodowej szkoły malarstwa w Tajlandii.

– W roku 1934 powstała w Bangkoku Narodowa Szkoła Muzyki i Dramatu, stawiając sobie za cel przeciwdziałanie obcym wpływom na klasyczny tajski dramat taneczny. Czy dostrzega pani dzisiaj podobne niebezpieczeństwo, grożące sztuce tajskiej ze strony obcych wpływów?

– Nie dopatrywałabym się tutaj niebezpieczeństwa w takim sensie, w jakim pan to sformułował. Myślę, że jeśli artysta tajski jest rzeczywiście artystą z prawdziwego zdarzenia i czuje się Tajem związanym z włas-

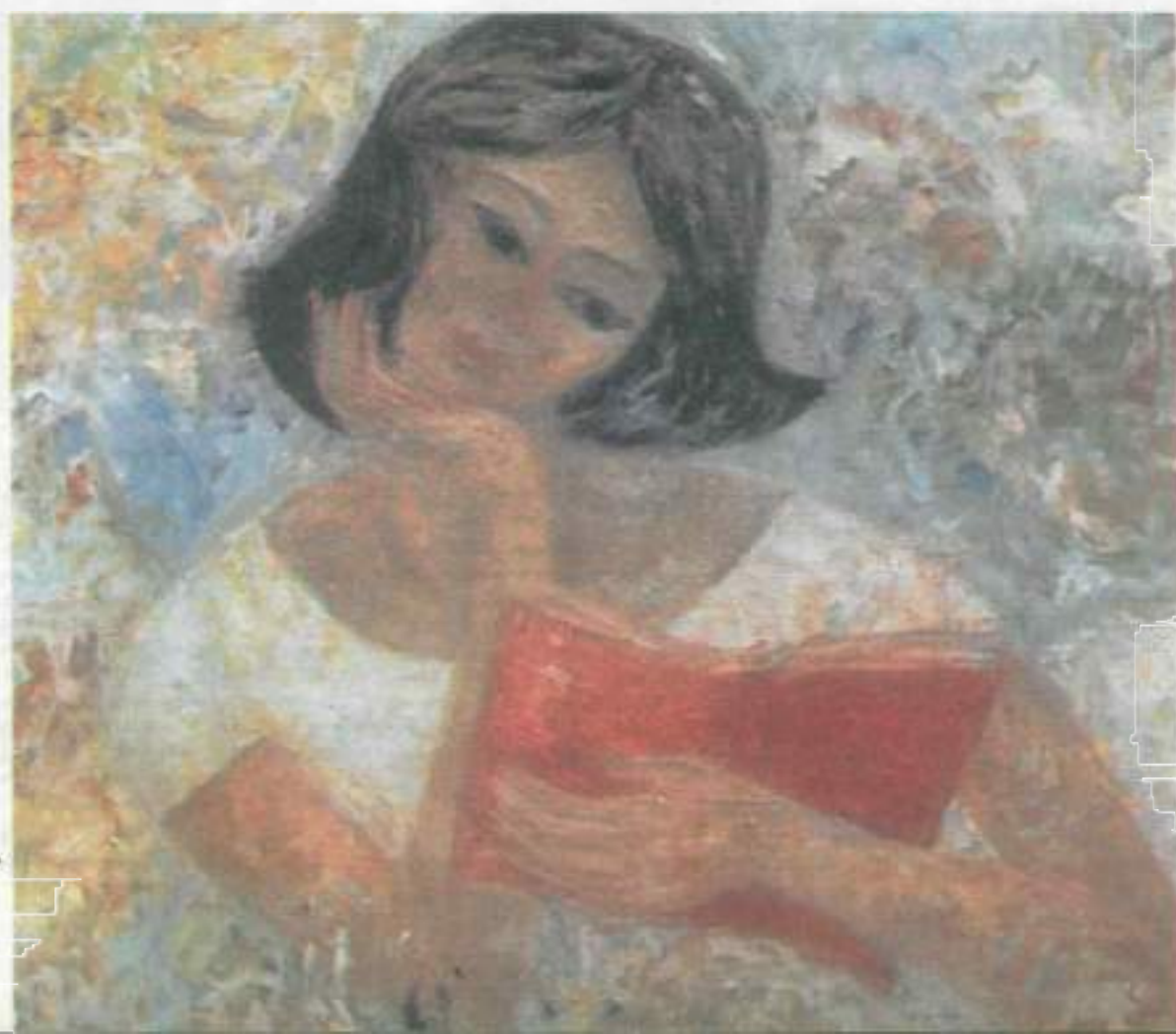


„Sadzenie ryżu”

nią literaturą i kulturą w ogóle, to nigdy nie podda się on obcym wpływom. Jest to możliwe jedynie na progu kariery, ale w końcu na pewno sam siebie odnajdzie.

– Czy spotkała się pani ze sztuką polską bądź słyszała o niej przed przyjazdem do Polski?

– Muszę tu zacząć od podziękowań pod adresem waszego rządu za wysłanie do nas ambasadora Bogusława Zakrzewskiego! To dzięki niemu i jego staraniom poznaliśmy Polskę w Tajlandii. Jemu zawdzięczamy spotkanie ze sztuką polską i polskimi artystami. I nie tylko ze sztuką, ale ze wszystkim, co polskie. Mieliśmy w Bangkoku wystawę książek i rzeźbiarstwa artystycznego. Mieliśmy przyjemność brać udział w spotkaniu z waszym ambasadorem, który mówił nam o stosunkach polsko-tajlandzkich na przestrzeni wieków i o naszym królu Chulalongkornie, który gościł w Warszawie. Oglądaliśmy film oparty na powieści Josepha Conrada. Chcę podkreślić, że ambasador Zakrzewski jest wspaniałym waszym ambasadorem i nikomu jeszcze nie



„Dziewczynka z czerwoną książką”



„Świątynia i drzewo”

„Targ”



udało się dotąd wytworzyć w Tajlandii tak przyjaznej atmosfery wokół Polski, i to w tak krótkim czasie, jak on zdołał osiągnąć. Nigdy nie przyjechałabym do Polski, gdybym nie poznała ambasadora Zakrzewskiego...

– Czy i jakie widzi pani możliwości zbliżenia i rozwinięcia współpracy środowisk artystycznych Polski i Tajlandii?

– Jesienią tego roku jeden z naszych artystów, który wykłada na uniwersytecie Silpakorn, przyjeżdża do Polski na zaproszenie waszego związku plastyków. Będzie w Polsce pracował przez cztery miesiące, a po powrocie poinformuje nas szeroko o życiu artystycznym i kulturalnym w Polsce. Na zasadzie wymiany zamierzamy zapraszać polskich artystów do Tajlandii, by popracowali w naszym kraju. I tą drogą, jak myślę, będziemy mogli rozwinąć stosunki, które nie będą się ograniczać do handlu, lecz obejmą życie artystyczne oraz kulturalne. Uczynię dla tej sprawy wszystko, co w mojej mocy, bo nic nie zastąpi kontaktów osobistych. Polacy, jak stwierdziłam, są serdeczni, przyjaźni i uczynni. To bardzo ciepły, powściągliwy naród. Nie mogę jednak tego powiedzieć o waszej pogodzie...

Rozmawiał: LECH NIEKRASZ

Reprodukcja: album M. Yipintsoi Retrospective 1949-1976



Nazwa japońskiego tańca awa-odori pochodzi od starej, tradycyjnej nazwy prowincji Awa, leżącej we wschodniej części wyspy Sikoku, gdzie dzisiaj znajduje się prefektura Tokushima. Historia tańca sięga końca XVI wieku, kiedy to jednemu z przodków tokusimskiego rodu książęcego, Iemasowi Hacisuce, udało się w burzliwym okresie sporów o najwyższą władzę w państwie zawiadnąć wyspą Sikoku, w nagrodę za co otrzymał w lenno prowincję Awa od Hidejosiiego, ówczesnego wojskowego władcy Japonii. W roku 1587 Hacisuka ukończył budowę tokusimskiego zamku i dla uczczenia tego faktu wydał wielką ucztę. Zaprosił na nią wszystkich cieśli, murarzy, kowali i innych rzemieślników, którzy pracowali przy budowie zamku. Dzieło się to 15 i 16 lipca według starego kalendarza księżycowego. W czasie uczy Hacisuka nie załował ryżowego wina również dla prostego ludu z podzamcza. Rozbawieni goście utworzyli ogromny korowód i zaczęli wńczyć na całej

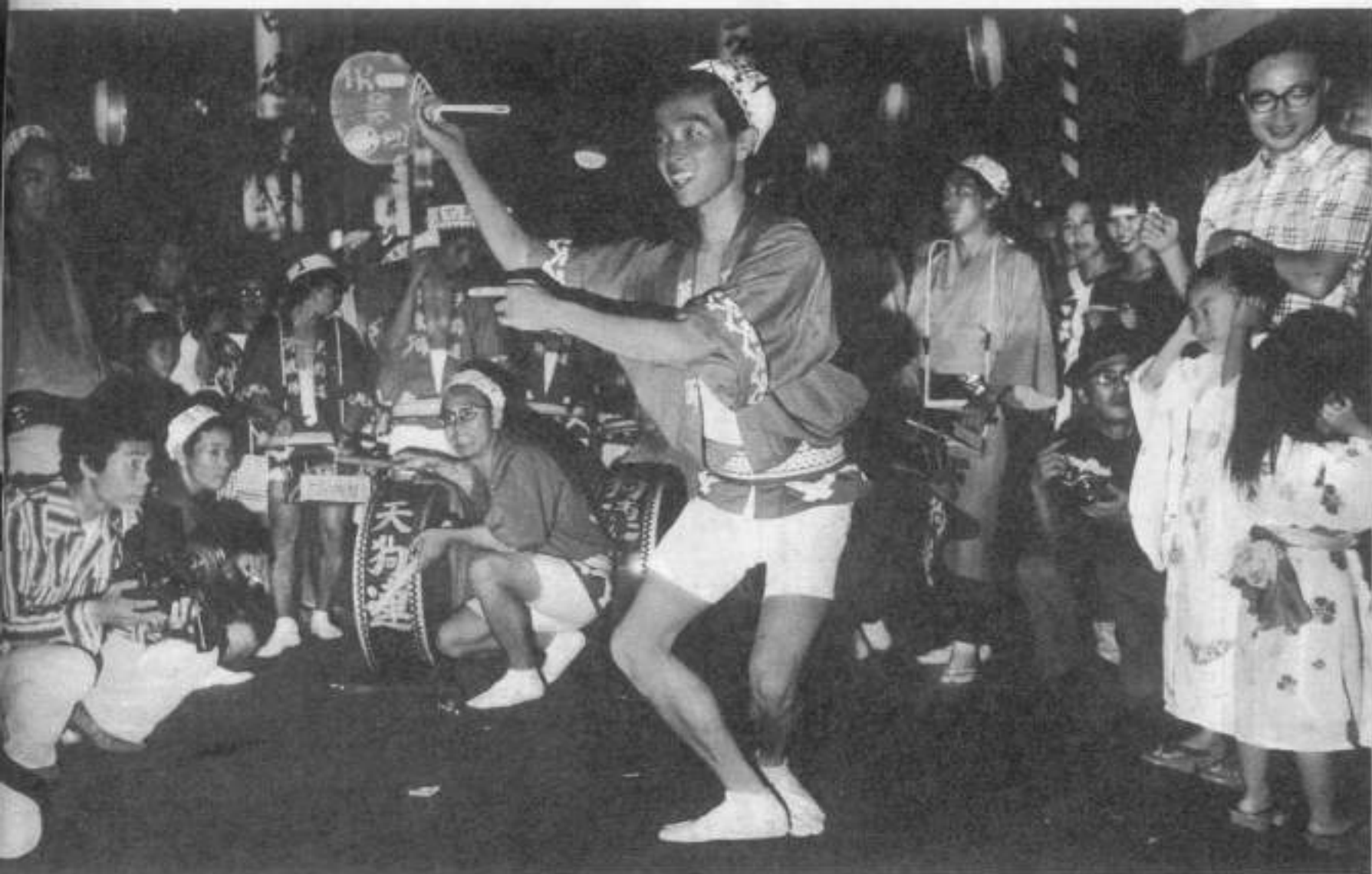
**Szkoda sobie
nie podskoczyć,
czyli
w rytmie**

Tekst: VLASTA WINKELHÖFEROWA

Zdjęcia: ZDENEK THOMA

AWA-ODORI





wolnej przestrzeni i na drogach wokół zanku. Tak powstał taniec awa-odori, który potem stał się wielkim corocznym świętem całej prowincji.

Tradycja owych wesołych zbiorowych tańców trwa do dzisiaj. Zerwano z nią jedynie na pewien czas w okresie Meidzi (1868-1912), kiedy co bardziej oświeceni radykałowie – w dążeniu do zlikwidowania przeżytków feudalizmu i wprowadzenia zmian wedle wzorów zachodnich – zwalczali również niektóre tradycje ludowe.

Dzisiaj awa-odori to gigantyczny festiwal, odbywający się 20 lipca. Do Tokusimy zjeżdżają setki tysięcy ludzi z całej Japonii. Nieprzebrane są też tłumy tancerzy, którzy biorą udział w tańcach na ulicach miasta. Rozmaite zespoły, kółka, stowarzyszenia, grupy studentów i dzieci, odzianych zawsze w jednokolorowe bawełniane kimono z nadrukiem symbolu lub nazwy zespołu, tańczą przy rytmicznych dźwiękach muzyki do późnej nocy. Przed każdą grupą, na jej czele, kroczy „chorąży” z długą flagą lub lampionem, będącym znakiem zespołu. Awa-odori to taniec pełen temperamentu zdradzającego południowy rodowód. Pozwala poszczególnym tancerzom na demonstrowanie ich własnych oryginalnych wersji tanecznych ewolucji. Popularność tańca jest tak wielka, że z biegiem czasu mieszkańcy Tokusimy przenieśli go i w inne

rejonu Japonii, gdzie również się przyjął. Jednym z takich miejsc jest Koendzi w tokijskiej dzielnicy Suginami. Koendzi to typowa dzielnica handlowa, zatłoczona, pełna kupieckich kramów, warsztatów rzemieślniczych i pojazdów, a nazwa jej pochodzi od buddyjskiej świątyni. W dniach 27 i 28 lipca tutejsza policja zamyka część ulic dla normalnego ruchu;

wzdłuż chodników gromadzą się gapię, a na jezdni starzy, młodzi i dzieci ruszają w tan przy wórze bębnow-fletów i „szamisenów”. Tańca awa-odori w Koendzi, jeśli chodzi o jego masowność, nie można oczywiście w żadnej mierze porównywać z zabawą w Tokushima, ale nie ustępuje jej porywającym, pełnym rozbawienia nastrojem. I tutaj jest tak, jak mówią

słowa popularnej piosenki śpiewanej przy zwa-odori

Hej, w tany! Ruszaj w tan!

Joi joi joi!

Głupiec i wariat ten, co tańczy,

Głupiec i wariat ten, co tylko patrzy!

A skoro wszyscyśmy jednacy,

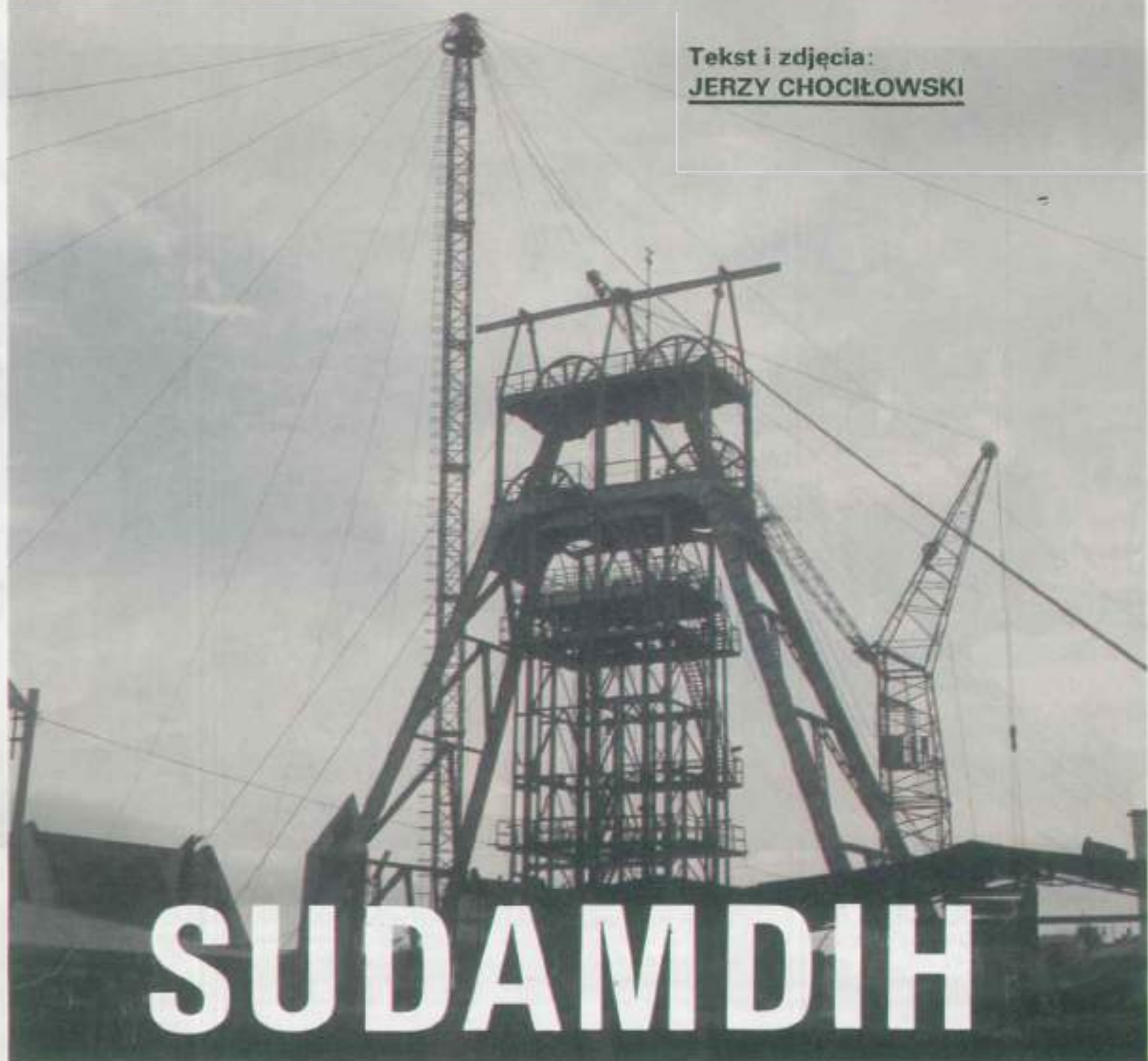
To szkoda sobie nie podkoczyć...

Tłumaczyła z czeskiego:

EMILIA WITWICKA



Tekst i zdjęcia:
JERZY CHOCIŁOWSKI



SUDAMDİH

Jeden z szybów Sudamdih

MIAŁA ZATONAĆ...

Trakt tego reportażu prowadzi do Biharu, na „indyjski Śląsk”, gdzie leży okręg węglowy Jharia i płynie rzeka Damodar, gdzie jest miasto Dhanbad oraz kopalnie Sudamdih i Munidih, które powstały dzięki pomocy polskich fachowców, a jedna z nich także dzięki Polakom nie zginęła przedwczesną śmiercią...

Kogoś, komu bukietek wymienionych wyżej nazw zapachniał być może sympatyczną egzotyką, muszę z miejsca rozczarować. Kryje się za nimi smutna pospolitość północnego interioru Indii, krej obraz przejmująco brzydki, do którego bieda Biharu zdaje się przylegać jak rękawiczka do dłoni. Jest to kraj, gdzie zimą umiera się z chłodu, a w lecie z gorąca. Podczas tegorocznej fali upałów słońce zamordowało w wioskach biharskich kilkadziesiąt osób, a z drzew jak przejrzałe owoce spadały martwe ptaki. Dhanbad w Polsce byłby trzeci pod względem liczby mieszkańców. Tutaj, o ćwierć tysiąca kilometrów od Kalkuty, jest tylko jedna z wielu bezbarwnych, zakurzonych termier ludzkich, miastem bez wszelkiego wyrazu, które zacięra się w pamięci, jak widoki za oknem rozpędzonego pociągu.

Taki pejzaż

W Dhanbadzie grupa polskich projektantów pracuje nad przyszłym zagospodarowaniem rejonu Jharia, gdzie pod ziemią tkwią pokłady doskonałego węgla oceniane na pół miliarda ton. Biurem, mieszczącym się w budynku nazwanym *Shanti Bhavan** kieruje inżynier Ryszard Biesek, absolwent Wydziału Górniczego Politechniki Gliwickiej, który w 1975 r. przyjechał do Indii już drugi raz. Poprzednio spędził tu prawie cztery lata (1968-1971), nadzorując kopalnię Sudamdih, którą częściowo zaprojektował, podobnie jak i Munidih. Z obiema tymi kopalniami jest czerstą nadal związany, po pierwsze dlatego, że nasza opieka nad nimi jeszcze nie całkiem wygasła.

po wtóro, bo mieszka wraz z żoną i córką w Sudamdih, dojeżdżając co rano samochodem do swych głównych zajęć w Shanti Bhavan.

Dopiero od niedawna miejsca te łączy jako tako wysafeltowana droga. Przedtem trzeba się było telepać 30 km, jak po torze przeszkód, co miało tę dobrą stronę, że odwracało uwagę od pogońności okolicy. Jest to bowiem jazda w scenarii filmów włoskiego neorealizmu: pośród start śmieci i gruzu, rdzewiejących wraków samochodowych, szcrałkowych płotów, kup słomy i cegieł, wśród rur, drutów i dziurawych opor, w szpalerze lichych kramików i karłowatych odrapanych ruder, szarych od pyłu chwastów i dychawicznych drzewek skubanych przez wychudzone kozy. A wszystko pod niebem brudnym od wleczących się dymów, w powietrzu ciężkim od smogu, w tumanach kurzu. Przyzwyczajenie oczywiście znieczula wzrok na ten przykry pejzaż, ale uśmiechać się doń raczej trudno.

Ze to przed małym „resthausem”, w którym nocuję – białone płotki i kłomby wybuchające czerwienią georginii. Miniaturowy ogródek otacza też parterowy bungalow inż. Bieska. Wewnątrz stoi jeszcze choinka z tworzywa – wspomnienie po gwiazdce 77. Na ścianach i półkach pamiątki z podróży po Indiach. Szabla kaszmirską, bambusowy puchar z Tripury, kufel z Dardilingu... Dzięki tym wyprawom – od Kaszmiru po Orisę i na dalekie południe – inż. Biesek wie, czym są Indie, jest nie tylko bihari babu**, jak go zartobliwie nazywają w Kalkucie. Poza tym drugi już pobyt daje swobodę czynienia porównań. No, Sudamdih dziesięć lat temu i teraz, to wielka różnica. Nie tylko dlatego, że obszar jest lepiej zagospodarowany, że jest droga czy kanał ściekowy, że polepszyła się znacznie dyscyplina pracy, ale i dlatego, że inaczej myślą i rozumieją sami Indusi. Inaczej patrzą na swą kopalnię, a także i na nas, na Polaków, z którymi ją wspólnie stworzyli.

Geologia

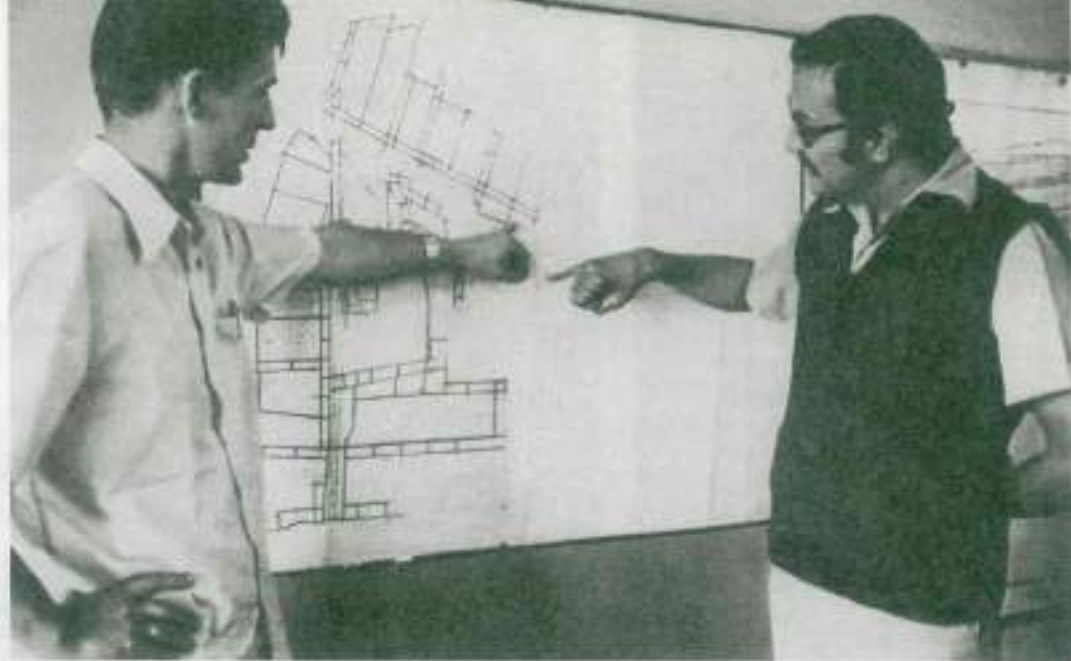
W tym miejscu zbliżamy się do tematu delikatnego, którego jednak pominąć nie można, a mianowicie do pewnych rozczarowań i nieporozumień, jakich źródłem była – i w pewnym sensie jest nadal – Sudamdih. Otóż jej wydajność jest znacznie mniejsza, aniżeli przewidywano. Wydobywa się dziennie trochę ponad tysiąc ton węgla, zamiast zaplanowanych sześciu tysięcy. Patrząc więc przez szkiełko suchych faktów, kopalnia osiąga załedwie jedną szóstą swej mocy produkcyjnej. Dlaczego?

Istnieje pogląd, że wskutek zastosowania nie dość nowoczesnej technologii. Inżynier Biesek nie zgadza się z tym. Przyczyny niewydolności kopalni są inne. Przede wszystkim okazała się ona wyjątkowo niystopowa pod względem geologicznym. Pokłady ukształtowane są w tak szczególny sposób, że ich eksploatacja jest niezwykle trudna. Przewidzieć tego właściwie nie można było. Indusi, którzy – już po doświadczeniach Sudamdihu – opracowali sami obraz geologiczny innej kopalni (w Ranchi) także mieli podobną wpadkę. Ponadto liczą się rozmaite inne rzeczy: chociażby sposób organizacji pracy czy metod zarządzania, a także tzw. czynnik ludzki. Psychika człowieka jest jednak nad Gangesem trochę inna niż nad Wisłą czy Renem. Niekiedy ta sama myśl biegnie tam i tu po całkiem innym torze i z inną predkością. Ciężnienie tradycji, obyczajów, kanonów religijnych i społecznych – jest w Indiach tak silne, że często przelicza i plany, i działania.

W biurze indyjskiego menedżera kopalni Sudamdih wisi oprawione w ramki motto:

„Zadaniem BCCL*** jest produkcja zaplanowanej ilości węgla, sprawnie i oszczędnie, z myślą o bezpieczeństwie i konserwacji”.

Menedżer, Subodh Kumar Sen, młody (36), bystro patrzący Bengalczyk, uśmiecha się, widząc, jak odpi-



Inżynier Majnka z dyrektorem kopalni Munidih – A. T. Gulatim

suje ten tekst. – Jeśli ma pan zamiar zapytać, w jakiej odległości od rzeczywistości stoi tutaj to hasło, odpowiadam szczerze, że jest raczej dalej niż bliżej. Powód? Och, to sprzężenie wielu czynników. Na przykład niewystarczające kwalifikacje załogi. Niektórzy z robotników uprawniają także ziemię i pracują właściwie sezonowo. W czasie zbiorów absencja na szychach dochodzi do 50 proc. W normalnym czasie – przeciętnie do 30 proc. Są to ludzie źle odżywie-

ni, choć jak na stosunki indyjskie dobrze pjątni. Inna sprawa, że starają się niejednokrotnie; podstawę zarobku stanowi ośmiogodzinna dniówka, a nie wysiłek akordowy. Ale oni naprawdę nie są w stanie pracować tak ciężko jak górnicy polscy czy angielscy. Rekreacja także kuleje, chociaż świąt jest w kalendarzu aż za wiele. Nie ma łaźni. Brak też wielu innych urządzeń, w które wyposażone są kopalnie w Europie czy Ameryce. No i oczywiście warunki

Inż. Ryszard Biesek przed Shanti Bhavan w Dhanbadzie



* Dostawca: Spokojny Dom. W Indiach – wzorem angielskim – budynki, urzędy i rozmaitych instytucji mają przed numerów ulicy wyróżniające je nazwy.

** Mianem „biari” określano w Indiach mezo zasymilowanego Anglika, czy innego przedstawiciela białej rasy.

*** Biert od Bharat Coal Coking LTD – nazwa państwowego przedsiębiorstwa górniczego.



geologiczne, jedne z najbardziej skomplikowanych w świecie. Zresztą – jeśli chce pan zobaczyć, jak to wygląda – mówi Sen – zapraszam na dół. Właśnie mamy tam obwał.

Obwał

Dostają gumowe buty, czerwony kask, kombinezon w kolorze khaki, lampkę i aparat tliczkowy, pochłaniający dwutlenek węgla. Gdyby np. wybuchł pożar i poszły dymy, mogą być spokojni, że będą miał co najmniej pół godziny na wycofanie się. Dodatkową esekurację mam w osobie p. Jerzego Majnki z Katowic, jednego z trzech polskich inżynierów nadzorujących wciąż Sudamdih i Munidih. Rusza winda. Co sekunda jesteśmy niżej o sześć metrów. Zjeżdżamy do końca, na najgłębszy poziom wydobywczy – 400 metrów pod ziemią. Dobrze ponad sto pieter. Jest duszno i gorąco: Sphywający ciurkiem spod kasku

pot zalewa mi powiekę. Przyswiecejąc sobie lampkami ruszamy w rejon obwału. Pod nogami rumowisko czarnych brył. Nad głową niski, ociekający wodą strop. Posuwamy się ostrożnie, zgarbieni, przechodząc od czasu do czasu do pozycji żabiej. Niekiedy trzeba się przeciskać przez szczeliny tak ciasne, jakby je przebiły na własny użytek skrzaty kopalniane. Po kwadransie docieramy do miejsca, które jest jakby główną barykadą obwału. Witą nas tam Alojzy Szweda, górnik z Jankowic. Jego masywna sylwetka mimo mroku odcina się wyraźnie od drobnych postaci robotników indyjskich. Szweda ma 46 lat i mało co może go już w kopalni speszyc. Na Sudamdihu zna się niezłe, bo – jak wielu innych – był tu już przedtem i to przez trzy lata. Przyswoił sobie na tyle hindi i angielski, że swobodnie porozumiewa się ze swymi indyjskimi kolegami. Zaraz też wdaje się w fachową rozmowę z dyrektorem Senem. Ten z kolei wpłata często polskie słowa, nawet tak trudne, jak „podsadzka”. „Rozumiesz?” – pyta Szweda,

rysując kredą na stemplu proponowane rozwiązanie likwidacji obwału.

– Takie właśnie są tu kłopoty – mówi inż. Majnka. Węgiel jest dobry, ale kruzący się, nie warstwowy. Pokłady grube, lecz strome, o nachyleniu i do 80 stopni. Dużo tzw. uskoków, przemieszczających kapyłnie pokłady na dziesiątki metrów.

Kto napisał hymn?

Wiaczorem – kompletna odmiana nastroju i scenarii: polonijne ognisko pod gwiazdami. Jest to miejscowa, mocna już tradycja, tyle że wybitnie sezonowa, tzn. ograniczona do krótkiego okresu, kiedy temperatura nocna sprzyja jeszcze siedzeniu w bliskości ognia, a nawet zezwala na dodatkową rozgrzewkę dzinem z wodą. Tego roku było to możliwe, bo wiosna w Biharze wyjątkowo się spóźniła; po zmroku powietrze orzeźwiająco stygło, znad brzo-



3



4

- 1 W Sudamdih. Z prawej dyr. Sen, obok inż. Majnka
- 2 Przerwa w pracy na powierzchni: mały problem techniczny.
- 3 „Są to ludzie źle odżywieni, nie mogą pracować tak ciężko, jak górnicy polscy...”
- 4 Stadion w Sudamdih. Skończyły się kopalniane zawody sportowe i uczestnicy czekają na rozdanie nagród
- 5 Damodar – rzeka, której wody miały zatopić Sudamdih
- 6 Po zjeździe w dół: stoją (od lewej) inż. Majnka, dyr. Sen i autor reportażu



6

gów Damodaru nadszły chłodne przeciągi. Soirée odbył się niemal kameralnie, nie na całym otwartej przestrzeni, lecz za murami hektarowej parceli, gdzie w ośmiu niewielkich domkach mieszka prawie cała sudamdihska Polonia. Gdy zasiedliśmy nie w krąg, lecz na ustawionych w podkowę trzcinowych fotelikach, okazało się, że jest to grupa wcale silna: około 30 osób wraz z nadbudową dziejącą. Po pieczonych w żarze ziemniakach nastąpiły chóralne pieśni: „Płonie ognisko...”, „Czerwony pas”... „Rozszumiały się wierzyby”, a także fragment „hymnu Sudamdihu”, który brzmiał tak:

*Gorąca ziemia indyjska jest.
Słońce przygrzewa, a praca wrę.
A tam w dalekim naszym kraju
Zonki na nas czekają.*

Pamiętano tylko tę jedną zwrotkę i nikt nie umiał jej powiedzieć, kto był autorem tego tekstu i podłożył doń melodię. W każdym razie było to bardzo dawno,



Pożar w Sudamdih

Kiedy w Sudamdihu żyło przeszło 80 panów, którzy zostawili na Śląsku słomiane wdowy. Teraz jest pod tym względem inaczej, są tylko samotni z wyboru, czyli kawalerowie, co wcale jednak nie znaczy, że trzeba naszym rodakom nadmiernie zazdrościć ich indyjskiej przygody. Prócz klimatu dokuczają bardzo monotonia życia. Poza pracą i obowiązkami domowymi nie ma właściwie co począć z wolnym czasem. Najbliższe kina są w Dhanbadzie, ale i tak wyświetlają tylko filmy indyjskie. Sudamdih

to wciąż tylko licha osada górnicza, gdzie poza kopalnią nie ma nic. Nawet na spacer nie bardzo jest dokąd pójść podczas tych krótkich miesięcy, kiedy można by to robić bez nadwężania organizmu. Niektórzy decydują się czasem na małe wycieczki po Indiach. Ale dla znacznej większości jest to na ogół kilkuletnie tkwienie na okrągło w jednym miejscu w sytuacji czysto kieratowej. Jeśli dorzucić do tego wciąż obecną obawę o zdrowie, tęsknotę za tymi z bliskich, którzy pozostali w kraju, bynajmniej nie

Jedna ze ścian, którymi Polacy odizolowali pole pożarowe od pozostałych wyrobisk (zdj. z archiwum inż. Bieska)



komfortowe wyżywienie, a także rozmaite, nieuniknione napięcia zawodowe i prywatne – otrzymamy obraz, wcale nie tęczyowy. Powie ktoś na to, że pensje nieporównanie lepsze niż w Polsce znacznie mogą te minusy kompensować. Istotnie, ale mimo to owe rupie, które u nas przyjmują kształt bonów PKO, są naprawdę ciężko i ryzykownie zapracowane.

Ocaliliśmy Sudamdih

Ciekawą, a nawet można powiedzieć, że sensacyjną dla mnie rozmowę miałem z generalnym dyrektorem obu kopalni, panem S. K. Chowdhary. Był on trzykrotnie w Polsce, w tym raz nawet pół roku, zna Sudamdih na wylot, bo związany jest z nią od początku, przewinęły się przed jego oczyma wszystkie rotacje naszych specjalistów, siąd jego spojrzenie ma szczególną głęboką ostrość. Jego zdaniem ocenianie Sudamdih tylko według rezultatów produkcyjnych byłoby uproszczeniem. Polacy trafili akurat na najtrudniejszy obszar, gdyż Sudamdih uchodzi za kopalnię najbardziej niewralgiczną prestiżowo. Napotkali nie tylko na przeciwność natury (niefortunna geologia), ale także na wiele innych barier technicznych, organizacyjnych, społecznych, na coś, co można by określić jako „kontrolowany bałagan”. Mimo to była to współpraca, która się całkowicie sprawdziła. I pieniądze, które włożono w Sudamdih, będą niewątpliwie procentowały w wielu sferach, nie tylko w sferze materialnej, jak zawsze, gdy w grę wchodzi doświadczenia pionierskie.

Niektóre z owych doświadczeń były niestety tragiczne. W swej niedługiej historii kopalnia przeszła dwie katastrofy. Jesienią 1976 r. wybuch metanu spowodował śmierć 43 ludzi. Pierwsi byli w strefie wybuchu Polacy (m.in. inż. Kotarbs i Majnka) i odnieśli 19 ofiar, z których jedna jeszcze żyła. Ledwo minął wstrząs psychiczny po tym nieszczęściu, w marcu 1977 r. wybuchł szybko rozprzestrzeniający się pożar. Był on tak groźny, że władze indyjskie postanowiły już zatopić całą kopalnię wodą z Damodar. Polacy sprzeciwili się tej decyzji, przedstawiając własny plan (pomysł inż. Bieska) uratowania Sudamdih. Minister górnictwa – po dramatycznej dyskusji – dał im szansę, ale wyznaczył ultimatum czasowe – tylko 12 godzin. Cały zespół polski, włącznie z projektantami, zjechał na dół i własnymi siłami (robotnicy indyjscy odmówili zjazdu) odizolował pole pożarowe od innych wyrobisk. Kopalnia skazana praktycznie na śmierć, została uratowana. Oszczędzono górnictwu indyjskiemu kolosalnych strat, tych przeliczalnych na pieniądze i tych niewymierzalnych. „To było fantastyczne” – powiedział mi p. Chowdhary. Była to akcja, która bardzo dobrze przysłużyła się dobremu imieniu polskiego górnictwa. Szkoda tylko, że jej echo było tak wątłe. Poza listem dziękczynnym, jaki dyrektor wystosował na ręce inż. Bieska – Polacy nie otrzymali znikąd żadnej satysfakcji.

Katowice w Biharze?

Już na odjeździe, na kilka godzin przed pociągiem do Kalkuty, korzystam z zaproszenia inż. Bieska i zaglądam do wspomnianego już Shanti Bhavan w Dhanbadzie. Nabiera tam kształtów plan przedsięwzięcia arcyważnego dla całej gospodarki Indii – wizja wielkiego zagłębia węglowego Dharla aż po rok 2000. Powstaną wówczas nowoczesne, zintegrowane bloki kopalni dające kilkadziesiąt mln ton węgla i zatrudniające ponad 2 mln ludzi. Zakontraktowany przez KOPEX projekt Polaków to śmiała koncepcja kompleksowa, biorąca pod uwagę powiązania socjo- i ekologiczne, odtwarzanie tego, co górnictwo niszczy, oraz wszystko to, co nazywa się infrastrukturą: drogi zwykłe i kolejowe, szkoły zawodowe, mosty, przepusty, a także nowe miasta. Jest propozycja ze strony Indusów, by jedno z tych miast, obliczone na pół mln mieszkańców, nazwać Katowice lub Polonia City. Jeśli tak się stanie, będzie to symbol z dobrym pokryciem.

Jerzy Chociłowski

Tam, gdzie błądził GILGAMESZ

Ze wschodnią Arabią kojarzy się dziś wielka nafta, ale jest to jednocześnie obszar prastarej kultury. Od krańców emiratu Ras al-Chajma po Kuwejt na północy w krainie piasków działają dziś ekipy archeologiczne, które wydobyły już na światło dzienne wiele świadectw dawnej kultury: tabliczki zapisane pismem klinowym, płaskorzeźby, steatytowe pieczęcie, ceramikę. Pokazywano mi je w Hilli i w oazie Chutt, której mieszkańcy wierzą, że tam doszło do stworzenia świata. Do biblijnego raju pretenduje zresztą wiele miejsc po arabskiej stronie Zatoki Perskiej. Rajem według legend miał być Dilmun, zlokalizowany przez naukowców jako Bahrajn,

Dla Sumerów Dilmun był bezpowrotnie utraconą krainą pierwszych przodków – Ziemią Złotego Wieku, ale także Olimpem, ziemią bogów, „krajem wschodzącego słońca”. Ta ostatnia nazwa budziła wątpliwości wielu badaczy. Sugerowali oni, że Dilmun powinien leżeć na wschodnim raczej niż zachodnim wybrzeżu Zatoki Perskiej. Dziś jednak większość badaczy utożsamia Dilmun z Bahrajnem. Wielu sugeruje, by nazwę tę rozszerzyć na całe zachodnie wybrzeże Zatoki Perskiej, za czym, ich zdaniem, przemawiają znaleziska archeologiczne na terenie Bahrajnu i Kataru oraz emiratów dawnego Omanu Traktatowego. W muzeach Abu Zabi i Ras al-Chajmy pokazywano mi odkopane w Hilli i Umm

Wszystko zaczęło się równo sto lat temu. W roku 1878 brytyjski oficer kpt. E. Durand patrolując teren niewielkiej wyspki, która od 1820 r. pozostała pod brytyjską „opieką”, zawędrował na koniu w dziwnie pofalowany teren. Rzędy pagórków jakby kopców biegly równolegle przez pustynne obszary. Do jednego z kopców prowadziło wejście. – Widocznie wchodzili już tam poszukiwacze skarbów – pomyślał Durand. – Złota już tam chyba nie znaję. I nie pomylił się. Kopiec okazał się dobieżniętym spiadrowym. Nie był to jednak zwykły kopiec, ale komora grzebalna. Rabusie porozbijawszy ofiarne naczynia na szczęście zostawili nietknięty największy skarb komory – płaskorzeźbę zapisaną sumeryjskim pismem klinowym.

Niepokalana kraina Dilmun

Jej treść okazała się rewelacyjna. Mówiła o Inzaku, synu Enki, bogu wszelakich wód – jednym z najbardziej czczonych w sumeryjskim pantheonie bóstw. Pochodziła z dziewiętnastego stulecia p.n.e. Dawna świadectwo kultury ludów starej Babilonii.

Poszukiwania przybrały na sile. Niemal w każdym kopcu znajdowano płaskorzeźbę, ceramikę lub statuetkę. Wielowarstwowe wzgórza Bahrajnu okazały się archeologicznym ełdorado i sensacją sezonu. Odkryto co najmniej sto tysięcy grobów różnej wielkości, co zjednało Bahrajnowi miano największego cmentarzyka świata. Nekropole pochodzą z dwu różnych okresów: połowy i ostatnich wieków trzeciego tysiąclecia p.n.e., oraz z wieków bezpośrednio poprzedzających naszą erę. Świadczy to o dość długiej ciągłości rozwijającej się tu cywilizacji. Na płaskorzeźbach z najstarszego okresu pojawia się imię Inzaka.

Według badaczy kultury sumeryjskiej, która rozkwitała na terenie Mezopotamii od końca czwartego tysiąclecia p.n.e. Inzak był opiekunem Dilmun, tajemniczej krainy starożytnych Sumerów, gdzie według legendy bóg dokonał stworzenia świata. Miała ona być prawdopodobnie pierwotną siedzibą Sumerów, z której wywędrowali do Mezopotamii, gdzie założyli silne i warowne miasta – państwa Ur, Uruk, Kisz, Lagasz. Gliniane tabliczki zapisane pismem klinowym nazywają Dilmun rajem, gdzie ludzie żyją w szczęściu i wiecznej młodości, nie znając śmierci. O tej krainie wspomina jeden z najstarszych eposów ludzkości, poemat o Gilgameszu z trzeciego tysiąclecia p.n.e. Był on legendarnym władcą sławnego miasta sumeryjskiego Uruk. Poemat w 12 tablicach, znaleziony w ruinach Niniwy opiewa wę-



Wśród mieszkańców palmowych ogrodów oazy Chutt drzemie pamięć o dawnej świętoci. Tu odkryto świątynię z sumeryjskich czasów

drówkę i przygody Gilgamesza oraz jego przyjaciela Enkiidu. Babilońsko-asyryjski epos powiada:

Kraina Dilmun jest niepokalana, kraina Dilmun jest czysta

Lew nie zabija,

Wilk nie borywa jagnięcia

Nieznany jest pożerający ziarno,

Jej stara kobieta nie mówi: „Jestem starą kobietą”

Jej stary mężczyzna nie mówi: „Jestem starym mężczyzną”¹⁷

an-Nar przedmioty kultowe i użytkowe związane z kultem bóstw, a także ożywionym handlem, jaki pięć tysięcy lat temu łączył wybrzeża Zatoki Perskiej z odległymi cywilizacjami Azji i Afryki.

Kraj dwóch mórz

Wyspa Bahrajn jest niewielka – ma długość 40 km i szerokość – 15. Na znacznej części swej powierzch-



2

- 1 Zatoka Perska była ożywionym szlakiem handlowym również w starożytności
- 2 Wykopaliska z czasów Aleksandra Wielkiego na wyspie Fajlaka
- 3 Starycy o biblijnym wyglądzie, władcy smiratów – są dziś właścicielami baśniowych fortun
- 4 Obok ruin z epoki greckiej – wpływów odkryto pozostałości starożytnego miasta Fajlaka – utrzymującego kontakt m. in. z cywilizacją Mohendżo Daro
- 5 Dziś w czasach pobytu Portugalczyków w miejscach, po których wędrował Gilgamesz

3



ni jest pustylna, zasolona i tylko na północy, w sąsiedztwie sumeryjskich *tell* – jest żyzną i zieloną, zagospodarowaną krainą rolniczą. Szczegółowe badania podjęte przez duńskich archeologów w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, pozwoliły z całą pewnością ustalić, że w starożytności Dilmun był jednym z najgęściej zaludnionych obszarów nad zatoką, zarówno ośrodkiem miejskim, handlowym, jak rolniczym. Z dawien dawna starożytni żeglarze zatrzymywali się tu nie tylko po to, by złożyć przywiezione towary, które odbywały dalszą drogę w głąb ładu na wielbłądach (Bahrajn dzieli od ładu niewielka odległość, dziś buduje się groblę, która połączy wyspę z Arabią Saudyjską), ale również zapatrzyć się w wodę, owoce, żywność.

Wśród pustynnych emiratów arabskich, które plwają się dziś w dostatku, choć nie mają ani kropli naturalnej wody słodkiej, Bahrajn wyróżnia się tym, że ją posiada, i to w nadmiarze. Wydejże się, że tak musiało być również w czasach starożytnych. Kraina zasobna w wodę – to kraina „szczęśliwa”, a więc „rajska”. Bahrajn otaczają jednak zewsząd wody słone. Woda słodka pochodzi z zasobów podskórnych. Spływające z Arabii strumienie słodkiej wody uchodzą do morza w pobliżu Bahrajnu. Do tych dwóch mórz – słonego i słodkiego (wody strumieni i rzek) nawiązuje arabska nazwa Bahrajnu, która oznacza „kraj dwóch mórz”.

Dla starożytnych już samo przenikanie się wody słodkiej ze słoną było czymś nadzwyczajnym. Symbolizowało jakby zetknięcie się dwóch sił, dwóch potęg – światła i ciemności, nieba i piekła, dobra i zła, świata żywych i umarłych. Jest nawet w Koranie maleńki fragment odnoszący się do tego „archipelagu dwóch mórz”. Być może w związku z mitem „dwóch potęg” rządzących światem, kalifowie otomańscy, których wpływy sięgały w swoim czasie Zatoki Perskiej, nazywali się „sultanami dwóch mórz”.

Zwraca się uwagę, że bohater sumeryjskiego eposu sprzed pięciu tysięcy lat nurkował w morzu w podobny sposób co dzisiejsi połowiacze pereł. Władzą oni sobie ciężarki u stóp i z nimi zanurzają się w morzu jak Gilgamesz, który pod wodą szukał nie pereł, ale rzeczy cenniejszej od nich – „kwiatu młodości”. Znalazł go właśnie tam, gdzie „wśród słonej wody płynęły strumienie słodkiej wody”. Znalazł go, lecz ukradł mu go wąż i w ten sposób Gilgamesz nie zdołał zrealizować swego marzenia o uszczęśliwieniu ludzkości. Gilgamesz znaleźć mógł ten kwiat tylko u wybrzeży Bahrajnu – jest to bowiem jedyne miejsce w Zatoce Perskiej, gdzie woda słodka łączy się ze słoną. To sugeruje, że legendarny Gilgamesz dotarł w swych wędrówkach do Bahrajnu, owego szczęśliwego Dilmun.

Nazwa Dilmun nie jest dokładnie wyjaśniona. Słowo to pochodzi prawdopodobnie z języka presumeryjskiego, jak wiele innych słów używanych po dziś dzień w tym rejonie. Oznacza ono „straszny”, ale także „majestatyczny”. Być może w pamięci najstarszych mieszkańców dawnej Babilonii kojarzyło się z jakimś monstrum, które odcięło ludziom drogę do raju?

Sześć miast Galat

Archeolodzy błądzą więc dziś wśród stu tysięcy *tell* i szukają śladów przeszłości. Szczególną ich uwagę skupiła mała wioska Aali. Grobowce są tu większe niż gdzie indziej i bardziej bogato wyposażone w przedmioty kultowe. Nazwane więc tę część dawnego Dilmun – dzielnicą królewską. Najwcześniejsze z grobowców powstały w tym samym czasie co w Ur. Znalaziono nawet w Aali małą złotą broszkę do zdudzenia przypominającą odkopaną w Urze.

Wielkim wydarzeniem stało się odkrycie najstarszego miasta Dilmun w miejscowości, która nosi dziś nazwę Galat. Zasypane piaskami miasto egzystowało przez wieki lat, a najstarsze budowle sądząc po wykopaliskach były i solidne, i kunsztowne. Przeczy to wysuwany niekiedy sugestiom o handlowej tylko roli Dilmunu. Jego mieszkańcy nie tylko handlowali z miastami Sumeru i doliny Indusu, nie tylko żeglowali swoimi stateczkami w dalekie kraje, by przywieźć stamtąd miedź, kość słoniową i lapis lazuli, ale również dbali o kanały wodne i organizację



4

miejskiego życia, rozwijali rzemiosło, budowali miasta, a byli niedoścignymi mistrzami wznoszenia potężnych gmachów i cytadel z nie wypalanej cegły. W Galat znaleziono ruiny miasta z sześciu różnych epok historycznych. Dwie pierwsze warstwy wykopalisk sięgają trzeciego tysiąclecia p.n.e. Dilmun przżywał wiodę szczyt handlowego i miejskiego rozwoju. Miasto uległo jednak prawdopodobnie zniszczeniu przez atak wrogów. Trzecie miasto było bardziej umocnione, miało forty i silniejsze mury niż pierwsze, ale i ono prawdopodobnie padło ofiarą ataku silniejszych militarnie Kasytów, górskiego ludu z terenu Persji. Na jego gruzach rozwinęło się tak zwane miasto neobabilońskie, a kolejną fazą w dzie-

jach Galatu był okres grecki związany z wyprawą Aleksandra Wielkiego do Indii. Jak długo przebywali tu Grecy – nie wiadomo. Pozostawili jednak po sobie jonskie i doryckie kolumny świątyni, jak w wielu innych miejscach nad Zatoką Perską, a także srebrne monety z wizerunkami Aleksandra w egipskim diademie. Ostatnią warstwą wykopalisk Galatu są fragmenty budowli z czasów już islamu.

Z legendą o Gilgameszu i cudownych źródłach słodkiej wody w słonym morzu dziwnie korespondują sumeryjskie świątynie Galatu. W ruinach jednej z nich znaleziono ścianę ze źródłem wody. Obok źródła znaleziono liczne pieczęcie zapisane pismem klinowym. Ku ścianie z wodą wiodą liczne stopnie

5





Teren wykopaliisk



wykute w skaie. Mieścił się tu zapewne ofiarny ołtarz, a starte przez czas i burze piaskowe napisy wymieniają imię sumeryjskiego boga wód.

Fajlaka – okno Dilmun

Za „okno” tego legendarnego Dilmunu, którego centrum był Bahrajn, uchodzi mała wysępka odległa o kilkadziesiąt kilometrów od Kuwejtu – Fajlaka. I ona po dziś dzień, w przeciwieństwie do pozbawionego wody emiratu, którego jest częścią, ma znaczne zasoby wody i dość bujną roślinność. Niektóre źródła wody cieszą się opinią „cudownych” – w pamięci najstarszych mieszkańców kojarzą się z „uzdrowieniami” i nadzwyczajnymi wydarzeniami. Istnieją zapewne od przedislamskich jeszcze czasów.

Nigmal do ostatnich dni nie wiadomo nic o związkach kuwejckiej wyspy z Mezopotamią Sumerów. Dopiero przypadkowe odnalezienie w 1940 r. kamienia z grecką inskrypcją zwróciło uwagę historyków na ten rejon. Poszukiwania archeologiczne wykazały, że ta mała wysępka, traktowana jako miejsce świątecznego wypoczynku przez dzisiejszych mieszkańców Kuwejtu, miała kiedyś nie tylko helleńską cywilizację (i tu zatrzymał się Aleksander Wielki, ale związana była z handlowo-rolniczymi cywilizacjami Mezopotamii, Persji i bardziej odległej doliny Indusu.

Archeologiczne wykopaliska wyspy, które oglądałam podczas pobytu w Fajlacie, należą do dwóch odległych od siebie w czasie o blisko 2 tysiące lat kompleksów. Pierwszy związany jest z okresem greckim. Odkopano fragmenty greckiego miasta, świątyni, znaleziono srebrne monety z podobizną syryjskiego króla Antiocha i greckiego bohatera Heraklesa. W tym drugim znaleziono 290 steatytowych pieczęci zapisanych nie odcyfrowanym jeszcze pismem charakterystycznym dla cywilizacji Indusu. Pieczęcie takie znaleziono nie tylko w Bahrajnie, ale również w Mohendzo Daro, z tym że pieczęcie z Indusu są na ogół kwadratowe, a pochodzące z Fajlaka – okrągłe.

Na pieczęciach występuje rysunek byka. Znaleziono również steatytowe puchary ozdobione rysunkami mężczyzn i kobiet oraz zwierząt. Na jednym z nich wizerunek ludzkich postaci i napis w piśmie klinowym – „e'gal in-zak”, czyli świątynia boga Inzaka. Tego samego, którego wymieniają gliniane tabliczki znalezione w Bahrajnie – boga Dilmun.

Dzisiaj bada się starannie przeszłość zachodniego wybrzeża zatoki, wykopaliska Fajlaka, Galat, Hili, Umm an-Nar (te dwa ostatnie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich). John Gray w *New Eastern Mythology* sugeruje, że rozwijająca się przed tysiącami lat cywilizacja morska, której częścią był Dilmun, była nie tylko wcześniejsza, ale i o wiele bardziej rozwinięta niż na lądzie, na terenach dzisiejszego Iraku. Zwraca się uwagę i na to, że o wiele bliższe związki łączyły np. Bahrajn i Fajlakę z Mohendzo Daro niż z sumeryjskimi miastami na lądzie. Być może Dilmun był częścią mało znanej a zaginionej cywilizacji południowych Arabów, o której wspominają opierając się na jakichś źródłach kronikarze starożytności. Strabon opowiada np. o mieście Gerra na wschodnim wybrzeżu Arabii, niedaleko od Kataru, gdzie dziś odnaleziono nie odczytane jeszcze inskrypcje jak w Mohendzo Daro. I tam odkryto ceramikę podobną do znalezionej na Fajlacie oraz jednostki miary i wagi bardziej podobne do używanych w Mohendzo Daro niż w Urze czy Niniwie.

Badacz Niniwy, Brytyjczyk Henry Layard, napisał: „Głęboka tajemnica wisi nad Assyrią, Babilonią i Chaldeą. Z tymi nazwami łączą się wielkie narody i wielkie miasta, które zatarła mgła historii. Pozostały po nich potężne ruiny w środku pustyni, którym tak trudno przydać określoną formę”. I tak trudno – dodajmy – wyobrazić sobie tę mimioną wielkość.

Genowefa Czekala

¹¹ Marian Felicki: Zapomniany świat Sumerów.

Tu, gdzie ziemia umiera z pragnienia – pięknie obradają pomidory w eksperymentalnych – i bardzo kosztownych – farmach

Argentina campeón!



Przebój Oscara Ortiza w meczu z Włochami



Twórca sukcesów Białe-niebieskich - Cesar Luis Menotti

Radość kibiców



■ Ostatni gwizdek sędziowski rozległ się na stadionie River Plate 25 czerwca, ale Mundial-78 nie schodzi ze szpalt gazet. Piłkarskie mistrzostwa świata - gigantyczny turniej, rozgrywany co cztery lata - zbyt wielkie rozpala namiętności, by odejść w zapomnienie natychmiast po meczu finałowym.

Dyskusje trwają: Fachowcy, a także miliony kibiców tej najpopularniejszej z gier, próbują odpowiedzieć sobie na dziesiątki pytań. Co przyniosła impreza? Jakie tendencje zaznacza się w futbolu? Komu dała przewagę rywalizacja europejsko-południowoamerykańska? Dlaczego Brazylia wywalczyła tylko trzecie miejsce zamiast zapowiadanego tytułu?

Trudno oczywiście jednoznacznie rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości, wszak oceny są sprawą subiektywną i choć sport należy do zjawisk wymierzonych, każdy widz - spędzając długie godziny przed ekranem - wyrobił sobie własny pogląd. Co do jednego tylko wszyscy są zgodni - wygrała drużyna najlepsza. I to jest pewnik trudny do podważenia, bo racja pozostaje zawsze przy zwycięzcy.

Aż strach pomyśleć, co by spotkało Cesara Luisa Menottiego w razie niepowodzenia. Znamcy przedmiotu lubią przyrównywać zwłód trenera piłkarskiego w krajach łąnowskich do zajęcia sepera. Jest również nie-

bezpieczny. Czarli przechodzą na myśl, że zawodom sportowym może przywieść drowiza „śmierć albo zwycięstwo”. Fanatyczne umiłowanie futbolu czyni widownię letynską wybuchową mieszkanką. Kibice brazylijscy, rozczarowani pierwszymi niepowodzeniami zielono-żółtych, palił w Rio kukę Coutinho. Menotti uniknął losu kolegi po łachu, ponieważ Argentyna odniosła wspaniały triumf. Dziś chodzi w glori bohater narodowego.

Sukces gospodarzy Mundialu 78 przesądził wynik współzawodnictwa między piłką europejską a południowoamerykańską. Karta się odwróciła. Przed czterema laty trzy pierwsze miejsca należały do zespołów starego kontynentu. Teraz tylko Holandia zdołała wywalczyć miejsce na podium.

Włażny teren stanowi atut nieład. W przypadku Argentyny gorąca publiczność ma szczególne zasługi. Jej doping uskrzydlił reprezentację. Rozważania - co by było na innych stadionach - mają charakter czysto teoretyczny. Jedno jest pewne - wygrała drużyna znakomita, mająca plejadę wybitnych indywidualności. Była grająca najbardziej po europejsku ekipę łąnowską. Nie tracąc nic z walorów piłki tej części świata, więc błyskotliwej techniki, szybkości, dynamiki i cudownej sprawności, wzbogaciła je zdumiewającym przygotowaniem fizycznym oraz dojrzałą taktyką. Nauka minio-



Ostatni Akt. Mistrzostwa światowej 78



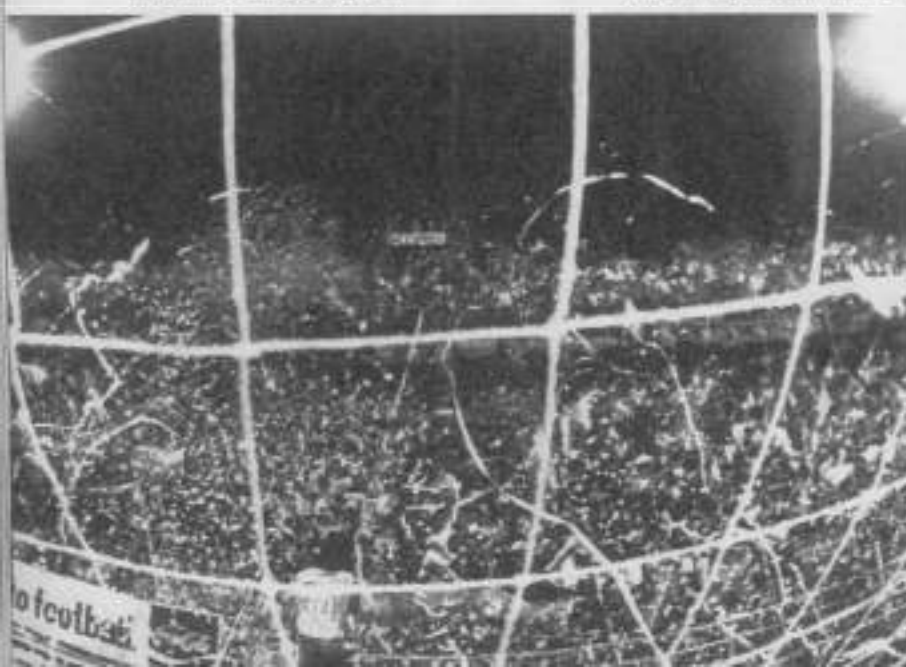
Po zwycięstwie ze szczerobłym pucharem

nych lat nie poszła w las. W rozgrywek finałowego spotkania przeciw Holandii – kiedy wydawało się, iż mordzące tempo 90 minut wyczerpało faworytów do cna – Argentyńczycy ruszyli jak burza, strzelając dwie bramki płażującą sukces. Jedenastka Holandii była porównywana do precyzyjnie funkcjonującej maszyny. To z nią wiąże się najbardziej określenie „futbol totalny”, a jednak nie sprostała uduchowionemu przeciwnikowi. Nazwieka najlepszych odmieniano przez miniane miesiące we wszystkich przypadkach. Król strzelców Mario Kempes, niezawodny bramkarz Matildo Filioł, kapitan reprezentacji Daniel Passarella, flaganowy rozgrywający Osvaldo Ardiles, grotny napastnik Leopoldo Luque... Sukces przypadł drużynom grającym ofensywnie, skutecznie, odważnie. Tzw. antyfutbol – holdujący filozofii kurtkowej obrony własnej bramki – poniósł porażkę, co z punktu widzenia przyszłości gry jest okolicznością nader szczęśliwą. A Brazylia? Trzecie miejsce przyjęła jako niepowodzenie. Może jednak mówić o szczęściu. Dosłownie centymetry dzieliły ją od dużo gorszej pozycji. Przy manej – i podziwianej – linieji technicznej, zabrakło faworytom argentyńskiej przebojowości. Ładne, koronkowe akcje w środku boiska nie mogły zastąpić ostrej gry ataku i stałego zagrożenia bramce rywali. Wielokrotni mistrzowie świata zdecydowanie ustępowali pod tym względem gospodarzom. Jeśli Europa poniosła porażkę, jest to w dużej mierze „zasługa” RFN i Polski. Przed czterema laty reprezentacje tych krajów nadawały ton walce, teraz natomiast raziły stylem asekuracyjnym i brakiem skuteczności. Pomyślnie za to wypadł start przedstawicieli Afryki – Tunezji. Skazany na porażkę kopciuszek, stoczył dwa doskonałe pojedynki z wymienionymi wyżej, silnymi ekipami. W ogóle wśród szesnastu finalistów coraz mniej manudarów, co świadczy o stałym wzniesieniu poziomu. Jak zwykle przy takiej okazji, wraca w dyskusjach problem systemu. Jakie eliminacje byłyby najsprawiedliwsze? Europejczycy narzekają, że szereg silnych ekip pozostaje w domu. Ostatnio spotkał ten los m. in. Jugosławię, ZSRR, Czechosłowację, Portugalie, NRD. Na dobrą, ale przydział miejsc według tradycyjnych układów mogłoby pozabawić startu przedstawicieli Azji i Afryki, tymczasem ubieganie się o finał stanowi dla futbolu tych kontynentów silne napędzenie. Istnieje natomiast pytanie – 16 czy 24 zespoły w decydującej rozgrywce? Zwiększenie liczby nie zawsze sprzyja wzrostowi poziomu, ma jednak pewne uzasadnienie propagandowe. Tylko czy można sobie wyobrazić jeszcze większe szalenie?

Lukasz Jedlewski

Widownia szalała ze szczęścia

Zdjęcia: „Epoca”, archiwum, CAF



REGAL z Książkami

Ryszard Piekarowicz replikuje

■ Ponieważ nakład mojej książki „Zrozumieć Indie” jest kilkakrotnie mniejszy od nakładu „Kontynentów”, będę wdzięczny za umieszczenie poniższych uwag dotyczących repliki Wojciecha Giełżyńskiego (Kontynenty nr 11/1977) wobec zawartej w „Zrozumieć Indie” polemiki z jego poglądami na temat świętych krów, przyczyn bierności Indusów i miejsca industrializacji w rozwoju gospodarczym Indii i „trzeciego świata”. Obawiam się, że czytelnicy „Kontynentów” nie znający mojej książki mogą na podstawie recenzji Giełżyńskiego pomyśleć, iż w swoich analizach spraw Indii jestem entuzjastą ekonomizmu, determinizmu geograficznego, weberyzmu i innych dawnych teorii i koncepcji. Wniosek taki mogą wysnuć w znacznej mierze dlatego, że Giełżyński nieściśle zreferował część moich uwag polemicznych do jego książki „Medytacje o Świecie Trzecim”. W kwestii świętych krów wytykałem Giełżyńskiemu, że w swych „Medytacjach” przyjął najzupełniej błędne założenie, iż w Indiach istnieje ogromna liczba bezużytecznego bydła i zgadzał się, iż wyróżnienie „dwustu milionów bydła – darmozjadów” przyniosłoby „bezsposome korzyści materialne”, podczas gdy w rzeczywistości prawie wszystkie krowy, nawet te tzw. bezpańskie, spełniają pozytywną rolę i są ostoją biednych rozdrobnionych gospodarstw wiejskich. Pisałem, że wbrew temu, co przyrównał Giełżyński, masowe wyrżnięcie rzekomo bezużytecznych krów przyniosłoby katastrofę kilkuset milionom najbardziej ubogich chłopów indyjskich. W związku z tym zwracałem uwagę, że sposób, w jaki broni on świętych krów – speliując o tolerancję dla hinduskich wierzeń religijnych i przestrzegając przed głębokim kryzysem moralno-ideowym w razie zaniechania kultu krowy – jest w znacznej mierze chybiony, gdyż Giełżyński odwołuje się do sprawy wtórnej – kultu, który wyrósł na zdrowej podstawie ekonomicznej. Giełżyński w swej replice na łamach „Kontynentów” nie wyjaśnia, czy nadal uważa święte krowy za darmozjadki, czy już nie, po czym pisze spokojnie, że mój „długi wywód bynajmniej nie podważa osądu, iż zaniechanie kultu krowy doprowadziłoby w Indiach do głębokiego kryzysu moralno-ideowego, a także do rozruchów politycznych”. Rzeczywiście nie podważa, ale przecież ja nie w tym miejscu podważałem pogląd Giełżyńskiego. Co prawda, z jego rozważań wynika, że sądzi on, iż nawet gdyby krowy były najzupełniej bezużyteczne dla Indusów, walka z kultem krowy doprowadziłaby w Indiach do katastrofy. Pominij tu niesłychanie ciekawą kwestię, czy kult krowy w ogóle narodziłby się nad Gangesem, gdyby obfitość krów nie była korzystna dla tamtejszej gospodarki wiejskiej, i pragnę stwierdzić, że nie podzielam tego poglądu mojego polemisty. Jednak na razie tę kwestię trudno rozstrzygnąć, gdyż krowy są wciąż bardzo potrzebne Indusom w każdej liczbie. W polemice na stronach „Zrozumieć Indie” chodziło mi właśnie o to, jednak o tym Giełżyński nie pisze. Trochę to tak, jak gdyby ktoś, kto upierał się, że żółte jest czerwone, powiedział pod koniec sporu: no tak, ale przecież to nie podważa mojego sądu, iż żółte jest bardzo ładnym kolorem.

Co do przyczyn bierności Indusów, nie rozumiem, dlaczego uwzględnienie uciążliwości pracy fizycznej w tropiku ma być objawem nadmiernego superowania się determinizmem geograficznym, zaś sformułowanie „o kępujących inicjatywę barierach kastowych” dowodem, iż wagażuje we mnie „błędny pogląd Maxa Webera o całkowitym immobilizmie kast”. Kasty rzeczywiście nie kępują inicjatywy we wnątrz kast i biedny szewc istotnie może bez grzechu zostać bogatym szewcem, ale przecież dość często zdarza się, iż syn szewca chce zostać kimś innym niż szewcem, a syn pariasa pragnie kształcić się na urzędnika – i napotyka ogromne trudności właśnie wskutek barier kastowych. Giełżyński nie zgadza się z moim poglądem, że hinduski minimalizm pragnień jest w znacznej mierze ideologią dorobioną do wielowiekowych i niezbyt udanych zmagania Indusów z przeciwnościami losu, ale nie tłumaczy, dlaczego w takim razie – jak pisałem o tym w swojej książce – wieśniak indyjski, pomawiany przezeń o wrodzone umiłowanie filozofii być, a nie filozofii mieć, stał się w latach sześćdziesiątych entuzjastą nowoczesnej agrotechniki i opanował ją w tempie, którego mogłoby mu pozazdrościć wielu rolników polskich, wyznających jak się zdaje filozofię mieć. Według Giełżyńskiego, zastanawianie się nad tym świadczy o „nadmiernym sugerowaniu się ekonomizmem”, ale czy przypadkiem Giełżyński nie sugeruje się nadmiernie opiniami o „uduchowieniu” i „umiłowaniu kontemplacji” wśród Indusów? Każdy z kilkunastu milionów uczestników indyjskiej „zielonej rewolucji” przeczy tezie o lekceważeniu doczesności przez Indusów.

W sprawie roli industrializacji w rozwoju gospodarczym Indii Giełżyński znowu nieściśle streścił moje poglądy. Polemizowałem przecież z jego tezą, iż „tylko najprostsze, masowe techniki pracochłonne i o niskiej kapitałochłonności – techniki maksymalnie zacofane – mogą zapobiec w „trzecim świecie” skrajnej nędzy i dalszej eksplozji bezrobocia” oraz z drugą tezą, że „póki nie spełni się wizja Marksa, setki milionów będą musiały żyć tak, żeby wyżyć: przy pomocy najprostszyc narzędzi, z roli i rekodzieła”. Moim zdaniem absolutyzowanie technik maksymalnie zacofanych jako środka walki z bezrobociem jest w istocie zaproszeniem do utrwalenia nędzy w „trzecim świecie”. Ludzkość zna już kilka ustrojów, w których nie było bezrobocia, np. ustrój wspólnoty pierwotnej, ale nie znaczy to, że techniki wytwórcze tych systemów mają być nadzieją biednych milionów w XX wieku. Poza tym Giełżyński nie dostrzega, że w kraju, który zastosowałby się do chwalańnych przezeń recept „gandhyjskich” i przyznał

bezwzględny priorytet najproszym narzędziom, pracy na roli i rekordzie, w normalnym trybie nigdy nie mogłaby się włączyć Marksa, ponieważ socjalizm rodzi się na ogół w łonie zaawansowanego kapitalizmu, a nie w społeczeństwie prymitywnych rolników i rzemieślników. Polemizując z pochwałą technik zacofanych, pisałem, że „Indie powinny robić w zasadzie to samo co dotychczas, tj. rozwijać równocześnie wielki przemysł, rolnictwo i drobną wytwórczość, tylko składniej, energiczniej i harmonijniej”.

O tym wszystkim nie ma ani słowa w replice Giełżyńskiego. Piszę on, że nie musi mi odpowiadać, gdyż wybrzyli go wyborcy indyjscy „którzy w roku 1977 zdecydowanie poparli „gandhyjski” program Morarżi Desaja w zakresie „filozofii rozwoju” i „polityki gospodarczej”. Jest to unik, i to niezbyt szczęśliwy. W wyborach indyjskich 1977 roku wcale nie chodziło o „ekonomię gandhyjską”, lecz o „disciplinowaną demokrację” Indiry Gandhi. Pani Gandhi przegrała przede wszystkim dlatego, że dopuściła do nadużyć i przecięcia w programie kontroli urodzeń, usuwania slumów itp., i zantagonizowała starą gwardię Partii Kongresowej, a nie dlatego, że była przeciwna „ekonomii gandhyjskiej”. Sprawa priorytetów rozwojowych odgrywała w kampanii wyborczej rolę drugorzędna. Poza tym, przypuścimy na chwilę, że wyborcy indyjscy rzeczywiście opowiedzieli się w jakimś referendum za ekonomią gandhyjską i przeciwko wielkiemu przemysłowi. Czy byłby to dowód, że techniki prymitywne są potrzebniejsze Indiom od czegokolwiek innego? Na początku XIX wieku także brytyjscy zagrozeni bezrobociem niszczyli pierwsze maszyny tkackie, ale fakt ten nie dowodził, że feudalizm i manufaktura są bardziej postępowe od kapitalizmu. Na koniec pragnę sam skorzystać z prawa repliki wobec uwag Giełżyńskiego dotyczących ocen politycznych zawartych w „Zrozumieć Indie”. Giełżyński pisze, że zbyt łatwo zaufałem mądrości i postępowości Kongresu pod kierunkiem Indiry Gandhi. Tu nie rację, ale częściową, gdyż w istocie za bardzo zaufałem nie tylko postępowości, ale pragmatyzmowi Indiry Gandhi i pisać książkę na początku 1975 nie przypuszczałem, że może popełnić takie błędy, jakia popełniła w 1976 roku, a zwłaszcza na przełomie 1976 i 1977, kiedy była głucha na protesty przeciwko przegięciom w programie sterylizacji osób wielodzietnych i kiedy

zaczęła umacniać swego syna Sanjaya na pozycji „następcy tronu”, doprowadzając na 6 tygodni przed wyborami do katastrofalnej dla siebie frondy wpływowego przywódcy pariasów, Jagdživana Rama. Do dziś nie jest jasne, w jakim stopniu miłość macierzyńska zaślepiła znaną dotychczas z trzeźwości myślenia Indirę Gandhi, a w jakiej mierze była to błędna kalkulacja polityczna. Tak czy inaczej jej błędy trudno było przewidzieć w momencie pisania książki. Inne uwagi Giełżyńskiego w tej materii uważam za niesłuszne. Wcale nie sędzę np., abym jednostronnie przedstawił koncepcje strategiczne KPI i KPI(M). W istocie wyłożyłem dość dokładnie racje obu partii komunistycznych, a to, że przysłałem słuszność koncepcjom KPI, nie może być pochyłane za dowód jednostronności. Giełżyński ma mi za złe, że „bez realnych przesłanek snulem wizję umacniania się konstelacji lewicowo-centralnej, która nie miała szans”. Nadal uważam, że sojusz sił lewicowych i ośrodkowych powinien być jednym z głównych założeń strategii komunistycznej w Indiach, ponieważ radykalna lewica jest wciąż za słaba, aby działać bez sprzymierzeńców. W tej kwestii nie popadłem jednak na stronach swej książki w hurraoptyzm i pisałem, że jest to zadanie rozłożone na lata. Wytknięte mi przez Giełżyńskiego sformułowania o zahamowaniu dryfu w prawo dotyczyły okresu 1969-71, zaś w rozdziale końcowym wspominałem wyraźnie, że apogeum kursu radykalnego Indiry Gandhi przypadło na lata 1972-73. Przejęcie władzy przez Desaja w żadnym miejscu książki nie jawiło mi się jako skrajne nieszczęście, natomiast nie ukrywam, że uważam obecną partię rządzącą, Dżanata, za partię stojącą jako czołg na prawo od Kongresu, w związku z czym fakt odebrania przez nią władzy Kongresowi przyjąłem istotnie z mniejszym spokojem niż Giełżyński, który nie martwi się nawet perspektywą ofensywy prawicy w łonie Dżanaty, wychodząc z założenia, iż „może (to) doprowadzić do większej polaryzacji społeczeństwa indyjskiego i do znacznego umocnienia lewicy”. Jest to moim zdaniem lekkożyłskie podejście, zgodne z zawsze ryzykowną tezą, iż „im gorzej, tym lepiej”. W Indiach pod tą tezą nie podpisuje się nawet KPI(M); świadoma równie jak KPI słabości lewicy nad Gangesem.

Ryszard Piekarowicz

REPLIKA NA REPLIKĘ

■ „Wspaniała książka z uwagami” – tytułowa recenzja z listki Ryszarda Piekarowicza. Jej autor odaje się sadzić, że żadnych uwag nie ma, a przy okazji powraca do krytycznych uwag wobec mojej książki „Medytacje o Świecie Trzeci” – co przyjmuję z wdzięcznością. Piekarowicz jest wybornym znawcą Indii i gość wpływem jego tekstów zredylikowałem niektóre własne sady. Co prawda, niekam.

Nie mam miejsca, by podołać do gruntownej dyskusji, przeto replika kondensuje do minimum, zaznaczając, że mój Polemicista (nowe zacięcie mi „nieścisłość” w referowaniu jego poglądów).

1. Piekarowicz odaje przy ekonomicznej interpretacji zjawiska „światłych krajów”. Ja już w recenzji po części uznałem poprawność tych spostrzeżeń, co nie zmienia mego osądu, że Piekarowicz w ferworze argumentacji gubi współczesną a także tego kultu i popada w jednostronność. Sadzę też, że nie wszystkie zjawiska z dziedziny kulturoznawstwa dają się interpretować wedle jednokierunkowego związku przyczynowości. Dależe spieranie się na ten temat byłoby powtórzeniem scharakteryzowanego żywetu, czy wprawdzie było jego – czy kura! Tylko dla porządku nadmieniam, że istnieje teoria, psychologiczna – interpretacja ferworu „światłych krajów”, wychodząca z kategorii dystansu „człowiek-wielom”.
2. W sprawie: kasty i ruchliwość społeczna – otrzymałem zainteresowanych do tekstu mej recenzji. Piekarowicz, używając jego własnych słów, „nieścieście zreferował ciekli moich uwag polemicznych”.
3. Wywód Piekarowicza o chłoności innowacyjnej chłopów indy-

skich jest efektywny, lecz dotyczy wąskiej grupy bogatych chłopów, głównie z Pandabu, którzy od paru pokoleń żyją w rozwiniętej gospodarce wsiowej, zdobyli osiedle i dawno przejęli europejski system wartości, a także mają ekonomiczne możliwości adaptowania się do konsumpcyjnych postaw tej części Indusów, które przejęły wartości z Europy, pisałem w „Medytacjach o Świecie Trzeci” na tyle szeroko, że nie powinienem być posądzony o nadmierne sugierowanie się indyjskim „umilowaniem kontemplacji”.

4. Wycofuję się z propagacji techniki maksymalnie zacofanych, użyłem tego przymiotnika w ferworze polemicznym. Jestem za technikami względnie zacofanymi prostymi – przy jednoczesnym rozwoju przemysłu nowoczesnego w odpowiednich proporcjach i tempie. Bardzo wyraźnie napisałem o tym w rozprawie, lecz Piekarowicz tych zdań chyba nie przeczytał. Cały jego historyczny wywód brzmi nader słusznie, lecz ja proponuję Mu w zamiar przeprowadzenia rachunku ekonomicznego uwzględniającego a) koszt i tempo wzrostu ludności Indii, b) wskaźnik już istniejącego i prognozowanego bezrobocia rzeczywistego; c) wielkość rozporządzalnych i potencjalnych zasobów, zwłaszcza energetycznych. Poeci idźcie! Piekarowicz wymaga przefiltrowania przez pryzmę ludzi.

5. Dziękuję za przypomnienie, że „scątkami rości się na ogół włone zaawansowanego kapitalizmu” i odpisuję się przypomnieniem, że budując socjalizm lub zapoczątkowały jego budowę m. j. Polska, Rumunia, Jugosławia, Bułgaria, Albania, Mongolia, Kuba KRŁO, Chiny, Wietnam, Laos, Kambodża, Angola, Mozambik, ER Kongo (Brazzaville), Jemen Półn., Etiopia i Algieria.

6. Pani Gandhi nie dlatego przegrała, że „dopuściła się nadużyć i przecięcia”. Dwaśm, to była ważna, lecz nie decydująca przyczyna jej klęski. Podczas wyborów 1977 r. elektorat Kongresu skurczył się zaledwie o kilka procent. Zdecydował fakt zjednoczenia się – po raz pierwszy – niemal całej opozycji. Kongres nigdy poprzednio nie zdobył więcej niż 43 proc. głosów, a osiemat drugą część przeważa w parlamencie – to tak działa arytmetyka wyborcza przy systemie jednomandatowym i rozpisaniu głosów na kilka partii mniejszych w opozycji. Gdy te partie wystąpiły łącznie – arytmetyka zadziałała w odwrotnym kierunku.

7. Piekarowicz pisze, że „przez słuszność koncepcjom KPI”, a nie KPI (M). Wyborcy mieli odmienne zdanie. M. j. dlatego miałem prawo napisać w recenzji, iż „Piekarowicz najbardziej pomylił się w tych kwestiach, które są jego specjalnością jako korespondenta politycznego”. Proponuję memu Polemicisie odczytanie np. str. 336, 348 jego własnej książki.

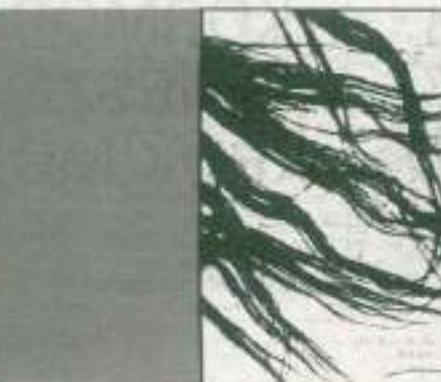
8. Istotnie, w niektórych przypadkach wyznaje tezę „im gorzej, tym lepiej”. Indie są tym przypadkiem. Upraszczając: w całym Indiach najgorzej było w Kalkucie i dlatego, po dekolonizacjach ciepleni i walki w Bengalu Zachodnim istnieją postępowy rząd. Z tego samego względu ze spokojem przyjąłem klęskę Kongresu, który, w moim przekonaniu, był najsłabszą siłą burżuazji. Przewidywałem, że Dżanata, twór straszny, zacznie się rozbarwiać (objawy już są), co – w drodze polaryzacji – może doprowadzić do znacznego umocnienia lewicy. Nie tylko nie cofam ani zdania, lecz przeciwnie, tego rodzaju rozwój wydarzeń uważam za możliwy – i najkorzystniejszy dla Indii.

Wojciech Giełżyński

NOTATNIK BIBLIOGRAFICZNY

- **Rajmund Ohly** – Tanzania dzisiaj i jutro. Iskry 1978, str. 226, cena zł 34. – Popularnonaukowe przedstawienie procesu formowania się państwa i narodu tanzanckiego. Autor, znany polski afrykanista, zdecydowany tanzanofil, był w latach 1972-1976 profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Badań Kiewahili Uniwersytetu Dar es-Salaam. Książka omawia teraźniejszość Tanzanii; jej kształt polityczny i społeczny; pozostawiając czytelnikowi możliwość własnego spojrzenia na przemiany dokonywane w kraju „tworzącym – jak mówi autor – socjalizm wschodnioafrykański”.
- **Walter Weiss** – Na szlaku do Tibesti. Przełożyła z niemieckiego Halina Leonowicz. Nasza Księgarnia 1978, str. 98, cena zł 20. – Pasjonujący reportaż młodego naukowca z samotnej wyprawy do Libii i Czadu w góry Tibesti w środku Sahary. Doskonale opisy pustyni i jej groźnego piękną oraz życia zamieszkujących ją ludzi.
- **Stanisław Płazewicz** – Afrykańska księga rodzaju, Iskry 1978, str. 353, cena zł 60. – Mity i legendy ludów Afryki Zachodniej. Pierwsza w naszej literaturze próba przedstawienia problematyki kulturowej tej części kontynentu, jej związków z ludami śródziemnomorskimi. Książka napisana w atrakcyjny i przystępny sposób, z zacięciem literackim przez młodego afrykanistę z UW.

- 16 opowiadań afrykańskich. Wybór Maryli Metelskiej. Iskry 1978, str. 261, cena zł 35. – Zawarte w książce opowiadania, to skromny przegląd współczesnego dorobku literackiego w dziedzinie nowelatyki w językach angielskim i francuskim na terenie Czarnej Afryki, gdzie twórczość w językach rodzimych rozwija się, ale ma mniejsze znaczenie. Kryterium wyboru było przybliżenie czytelnikowi polskiemu autorów mało u nas znanych.
- **Jan Lenčo** – Egipcjanka Nitokris. Przełożył Antoni Kroh. Czytelnik 1978, str. 108, cena zł 24. – Powieść współczesnego nowelisty słowackiego umiejscowiona w starożytnym Egipcie. Jej bohaterowie to szarzy ludzie, których codzienne troski i marzenia mają wymiar ponadczasowy.
- **Ho Xuan Huong** – Poezje. Wybór, wstęp, przekład i przypisy Franciszek Michalski, opracowanie graficzne Andrzej Strumiłło. PIW 1977, str. 83, cena zł 30. – Wiersze wietnamskiej poetki, żyjącej na przełomie XVIII i XIX stulecia. Poezja jej nacechowana jest głębokim liryzmem, odważnie i szczerze opisuje stęrgintymnych uczuć, nie waha się mówić o najbardziej drastycznych szczegółach życia erotycznego. Tomik bardzo starannie wydany, bogata ilustrowany przez Andrzeja Strumiłła.





Ptak-unikat! Wymierający, jeden z ostatnich gatunków, którym natura pozwoliła w sprzyjających warunkach zrezygnować z umiejętności fruwania. Kormoranom warunki takie zapewniły wyspy Galapagos: nie było tu konieczności latania, bo nie było wrogów. Dziś wolne od nich są tylko dwie wysepki – Narborough i Albermale – na pozostałych, gdzie człowiek przybył wraz z dobrodziejstwem swojego inwentarza żywego – psami, kotami, szczurami – osobliwe kormorany przeniosły się w zaświaty.

Wygląd mają groteskowy: duże ptaszysko z nieproporcjonalnie małymi skrzydłami, z tabędzią szyją, kaczmi nogami i kruczym dziobem. Długim, prostym, na końcu haczykowato zagiętym. W tyle ciała mają krótkie wiostonóżki z błoną pływającą, co na lądzie każe im poruszać się w pozycji niemal pionowej. Skrzydła uformowane są niby normalnie, ale ich długość nie sięga jednej trzeciej długości ciała. Upierzenie jest ciemnobrązowe, wybijają się z niego świecące zielononiebieskie oczy, podkreślone przez obwódki nagiej skóry.

Fascynujące oczy nie są w stanie uratować całej fizjonomii bezłotka z Galapagos (*Nannopterum harrisi*) – nie należy on do ptaków urodziwych, jest komicznie pokraczny. Znacznie lepiej prezentuje się w wodzie; kiedy płynie, szyję z gracją odrzuca do tyłu, układając głowę na grzbiecie, a rozwarty dziób zadzierając do nieba. Nozdrza ma niedrożne i musi oddychać dziobem. Wydala natomiast przez nie, dzięki istnieniu poniżej oka tzw. gruczołu solnego, nadmiar soli pobranej z wody morskiej. Kormoran jest znakomitym pływakiem, chociaż można wątpić, czy woda jest jego namiętnością: tylko głód zmusza go do kąpieli.

Jest rybojadem, skorupiaki służą tylko jako zakąska. Wspaniałe oczy oddają duże usługi w połowach; kormoran ma, jak się okazuje, świetny wzrok sięgający 50 dioptrii. Rozkołysawszy ciało w przód, nurkuje prosto w dół, schodzi na głębokość 5–7 metrów,

może pozostawać pod powierzchnią wody około minuty. Rzadko zjada swoją zdobycz pod wodą, woli wypłynąć z rybą, podrzucić ją w powietrzu i schwycić, tak by połknąć głowę najpierw. Na ogół kormorany nie odpływają daleko od brzegów. W przeciwieństwie do innych ptaków wodnych nie sypiają kołysząc się na falach, muszą często, praktycznie po każdym zanurzeniu, wychodzić na ląd, żeby się osuszyć. Upierzenie ich łatwo bowiem nasiąka wodą; mają bardzo skąpą wydzielinę natłuszczającą, to znaczy impregnującą piórka. Produkują ją specjalne gruczoły umieszczone u wodnych ptaków na kurprze. W rezultacie kormorany kilkakrotnie w ciągu dnia muszą rybaczyć. Dzienna porcja dorosłego ptaka wynosi pół kilograma rybek.

Zrozumiałe więc, dlaczego niektórzy latający krewni kormorana z Galapagos uznani zostali za poważną konkurencję rybaków. Przemysłny człowiek postanowił wykorzystać łowieckie zdolności ptaka dla swoich potrzeb. W Chinach, a szczególnie w Japonii, rozpowszechniony był od najdawniejszych czasów zwyczaj łowienia ryb przy pomocy kormoranów. Rybacy zakładali im u nasady szyi pierścień niemożliwiający połknięcie złapanej zdobyczy. Gdy ptaki zapełniły podgardla rybami, ludzie ściągali je do łódki na specjalnych pętach i zmuszali do zwrócenia ryb. Po zakończeniu połowów karmili je przesuwaną obręcz bliżej głowy, żeby w tym wypadku zapobiec wymiotowaniu, które należy do kormoranich zwyczajów. Dziś połowy na kormorana służą nie tyle wyciąganiu ryb z morza, ile pieniędzy z kieszeni turystów poszukujących folklorystycznych ciekawostek.

Ale to nie jedyne przystugi kormoranów dla człowieka. Na ich guanie – stosowanym już przez Inków jako nawóz bogaty w azot, fosfor i potas – Peruwiańczycy i Chilijczycy zarobili miliony.

Degenerat z Galapagos nie daje korzyści namacalnych, interesuje bardziej ludzi nauki niż interesu. Zresztą o jakich korzyściach może być mowa, skoro

zostało przy życiu ledwie pół tysiąca sztuk i te właściwie mają dni policzone. Póki jest jeszcze czas, ornitolodzy obserwują ich zwyczaje.

Gnieźdzą się na skałach przybrzeżnych w niewielkich koloniach. Gniazda budują z morskich zlepieniów własnymi ekstremamentami. Zaloty odbywają się głównie w morzu, samica znosi zwykle dwa, najwyżej cztery jaja, wysiadują je na zmianę oboje rodzice przez cztery tygodnie. Pisklęta wykluwają się nagie i ślepe, są bardzo nieporadne, po dwóch miesiącach zaczynają opuszczać gniazda. Rodzice osłaniają małe od słońca kikutami swoich skrzydeł. Początkowo karmią je wypychając do gardziołek małe porcje przetrawionego już i zwiątowanego własnego pokarmu. Gdy pisklęta podrosną i stają się zwaśne, zaczynają same upominać się o jedzenie. Wyciągają w górę szyję i bokiem dziobków bębnią energicznie w podgardle jednego z rodziców. Sygnał ten wywołuje jakby odruch krtuszenia się i torsje ptaków. Po chwili nachylają głowę i w ich rozwartych dziobach giną główki małych, które prosto z gardzieli starych wybierają co lepsze kąski. Młodzież kormoranów prowadzi tryb życia waga-bundów, rodziny zakłada w wieku lat czterech.

Partnerzy z małżeńskiego gniazda zachowują się wobec siebie niesłychanie wytwornie. Gdy jedno wysiaduje jaja, drugie wracając z połowu przynosi prezent budowlany – kawałek jakiejś roślinki czy gałązki, który uświetnia ceremoniał powitalny i zmianę warty przy łęgówisku. Ptaki nie zawsze z daleka rozpoznają swoich partnerów, dlatego powracający do gniazda – jak twierdzą etolodzy – musi się wylegitymować i zmanifestować swoje przyjazne uczucia. Gniazda rozstawione są w pewnej odległości od siebie, kormorany układają sobie dobrosąsiedzkie stosunki na zasadzie nie wścibiania dzioba w nieswoje gniazdo. Intryz zostaje z wrzaskiem przepędzony.

Odkąd tylko kormorania rodzina *Phalacrocoracidae* pojawiła się na naszej Planecie (przed 50 milionami lat) największe niebezpieczeństwa czekały na nią w wodzie. Nie gardzi drobiem wodnym ani lampart morski, ani wątlusz, nawet wieloryb od czasu do czasu przełyka kruka morskiego, bowiem imię kormoranów wywodzi się z łacińskiego *Corvus marinus*, co znaczy właśnie kruk morski.

O wrogach lądowych, groźnych przede wszystkim dla ginącego bezłotka z Galapagos, już wspominaliśmy. Naukowcy ochraniaarze toczą boje, by wyspę Narborough, jedyną z archipelagu zupełnie nie tkniętą, pozostawić w jej stanie naturalnym. Jeśli wpuści się tu osadników i zdżiczałe zwierzęta domowe, kormorany nie latające spotka ten sam los, który był udziałem dronta dodo z Mauritiusa. Pozostał tylko w systematyce zoologicznej i podręcznikach.

ekot



KORMORAN, SPIESZONY KRUK MORZA

Niespodzianka w Katmandu

Przeżyłem moment zdziwienia, dosiadając się w Katmandu o istnieniu Towarzystwa Przyjaźni Nepalsko-Polskiej (TPN-P). Ostatecznie są przecież kraje znacznie mniej oddalone od dorzecza Wisły i z drzwiami na świat szerzej otwartymi niż małe himalajskie królestwo, które takiej placówki nie ma. Powiedziano mi nato w Katmandu, że często łatwiej o przyjaźń z kimś, kto jest daleko, aniżeli z bliskimi sąsiadami, i z tą prostą konstatacją nierócznie byłoby się chyba spierać.

Siedziba Towarzystwa ma wygodny adres, niedaleko naszej nowej ambasady, na niedużym parterze ceglano-budynku, odgródzonego od ulicy murkiem z wprawioną wien drewnianą futrą. Można przeczytać niepozorną niebieską tabliczkę z dwujęzyczną nazwą (w nepali i po angielsku), jeśli się akurat nie zadrze głowy w okolicy drugiego piętra, ale na murze przy wejściu wisi odrutowany prostokąt tablicy, która od razu przyciąga uwagę polskimi akcentami. Za mojej bytności były to fotograficzne powiększenia polskich znaczków pocztowych, zdjęcie piątkowego na maszynie Stanisława Lema oraz opatrzony osobistą dedykacją fotos Lucyny Winnickiej (z filmu „Pociąg”), którą reporterskie zainteresowania spirytualizmem Azji zawiodły także przelotem do Nepalu.

Linki Towarzystwa jest pomieszczeniem skromnym. Nie licząc małej siatki ozdobionej plakatem przedstawiającym Plac Zamkowy w Warszawie, składa się on z jednej kaskawej, nisko sklepionej ławki o plemiennych okienkach. Poza mapę z nowym podziałem administracyjnym, kilka wizerunkami wybitnych Polaków (Chopin, Gierymski, Frycz-Modrzejewski, Jarosław Dąbrowski) i garstkę nie najnowszych broszurek i folderów Interpressu, nie ma nic, co by naprowadzało myśli na Polskę.

– Brak książek i w ogóle słowa drukowanego o Polsce po angielsku – to nasza wielka bolączka – mówi przewodniczący Towarzystwa Prasad Upadhaya. – Otrzymujemy trochę materiałów z ambasady, lecz to wszystko za mało. Ale jesteśmy wdzięczni i za to. Przyjeżdżają pan Andrzej Wawrzyniak, który od jesieni ub. roku kieruje polską ambasadą w randze Ministra Nadzwyczajnego i Plenipotencjnego – był przelotem w naszej działalności. Nasze kontakty i z ambasadą i z Polakami, którzy przyjeżdżają do Katmandu, są teraz znacznie częstsze.

– A kiedy utworzyliście Towarzystwo?

– W roku 1975. Nawiasem mówiąc, nie byliśmy pionierami. Pierwsze Towarzystwo Przyjaźni Nepalsko-Polskiej powstało jeszcze w roku 1960. Jego przewodniczącym był znany dziennikarz, redaktor tygodnika Samakha – Madandani Dikshit. Ale po dwu zaledwie zebraniach Towarzystwo rozpadło się. Zresztą i my do przyjazdu Andrzeja Wawrzyniaka nie byliśmy szczególnie aktywni.

– Ale jak to się stało, że zainteresowaliście się właśnie Polską?

– Kiedy zdawałem maturę (było to w Biratnagarze) przy egzaminie z angielskiego dostałem tekst mówiący o Marii Curie. Wydało mi się niezwykle, że kobieta mogła otrzymać nagrodę Nobla. No i potem starałem się dowiedzieć jak najwięcej o niej i o jej ojczyźnie.

W kilka dni później na „oficjalnym” spotkaniu w siedzibie TPN-P, dowiedziałem się, że w taki sam sposób, za pośrednictwem tekstu o Curie-Skłodowskiej – zawarto znajomość z Polką także wielu innych członków Towarzystwa. Liczy ono około 35 osób, w tym 7 dziewcząt. Nikt z wyjątkiem red. Dikshita nie był w Polsce. Są to w większości ludzie młodzi, dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziesto-, przeważnie urzędnicy i dziennikarze,



Wysoko w oknie tablica w dwu językach z nazwą i rokiem założenia Towarzystwa (1975)

Grupa Członków Towarzystwa przed swą siedzibą przy ulicy Kalikasthan

Zdjęcia: JERZY CHOĆCŁOWSKI



rze, pracownicy ambasad krajów socjalistycznych. Prasa Prasad Upadhaya (30 lat) – to także dziennikarz. Jest on założycielem i redaktorem tygodnika Zyci i „Światło”), w którym często zamieszcza artykuły i informacje o Polsce. Pismo nie ma dużego nakładu, zaledwie 1500 egzemplarzy, ale w Nepalu, gdzie 80 proc. ludności nie umie czytać ani pisać, obowiązuje inne miary poczytności.

– W każdym razie – twierdzi prasa – nigdy jeszcze w prasie nepalskiej, tej nie anglojęzycznej, nie ukazało się tak wiele artykułów o Polsce. Można przypaść, że w Dolinie Katmandu nie ma dziś czytelnika gazet, który by nie wiedział czegoś o Polsce. Dzięki temu można było umieścić pytania dotyczące Polski w popularnych quizach radiowych bez obawy o trafność odpowiedzi.

Pytam, skąd czerpane są wiadomości do publikacji prasowych? Trochę z encyklopedii, trochę z nadzianego do ambasady serwisu propagandowego P.A. Interpress. Ale jest to źródło niewystarczające. Przydałoby się znacznie więcej materiałów o historii, kulturze i współczesnym życiu Polski. Potrzeba nam książek, broszur, czasopism, nie mówiąc o filmach czy przebiegach. Trudno

bowiem bez tego podtrzymywać działalność Towarzystwa, przyciągając doń nowych ludzi.

Bardzo sympatyczne było wspomniane spotkanie w gronie członków TPN-P. Pytałem o Polskę, jaka była po ostatniej wojnie, jaka jest teraz, a w rewanżu opowiedziano o Nepalu, trochę serio, a trochę żartobliwie, trochę z dumą, a trochę z zalem. Że tak wiele jest do zrobienia w ojczyźnie Buddy, a tak niespiesznie wchodzi ona w styczeń z XX wiekiem. No, ale to już należy do innych zdziwień, do innych niespodzianek, jakie bywają udziałem tych, którzy przybywają do Nepalu, gdzie – jak pisał Kipling – faktami są najbardziej szalone fantazje.

(JU-RU)

P.S. Być może są wśród naszych Czytelników tacy, którzy mają niepotrzebne już im publikacje czy czasopisma o Polsce w języku angielskim. Jeśli tak, to prosimy o przysłanie ich do redakcji, a my przekazemy je TPN-P w Katmandu. Gdyby ktoś chciał nawigować korespondencję z naszymi przyjaciółmi w Nepalu, podajemy ich adres: **Nepal – Poland Friendship Association Kalikasthan 492, Kathmandu 21, NEPAL.**



Ponieważ jednak obecność platrnych morderców w armii tainskiej stała się dla prezydenta zbyt kłopotliwa, pozrył się on ich, część wystrzelał. Ranny w głowę w czasie tych wydarzeń Denard ledwie żywy uchodził z Zaira, chroniąc się w Rodedzi. Ale nie koniec na tym jego kariery. Mówi się nim, że brał udział w secesji Biały i w próbach obalenia rządu w Beninie (d. Dahomej). Ostatnio zmienił wyznanie i nazwisko. Nazywa się teraz Saïd Mustafa Mohadjiz i jest muzułmaninem. Uczestniczył w zamachu stanu w maju br. na Komorach. Nie wiadomo jeszcze, jaką niespodziankę zgryje Afryce Bob Denard, człowiek, którego zawodem jest zabijanie.

DO KOLACJI WKŁADAŁ BUTY

■ We wrześniu br. przestała istnieć jedna z najosobliwszych, najbardziej karykaturalnych tytanii naszych czasów. Właściciel Wysp Kokosowych, Szkot nazwiskiem Clumess-Koss, zwany przez swych malajskich poddanych Tuanem (pawem) Johnem – spasiwał wreszcie pod presją Canberra i sprzedał Australii swe koronowe włości za 7 mln dolarów. W 1826 roku szkocki kapitan, przodek Tuana Johna, wylądował omyłkowo na mikroskopijnym archipelagu pośród ultramarynowych wód Oceanu Indyjskiego i tak mu przypała do gustu ich ciepły spokój, że postanowił nie wracać już nigdy nad mgliste brzozy Tamizy. Decyzja ta dała początek stu pięćdziesięcioletniej dziedzicznej dyktaturze rodziny Rosów na 27 wyspkach nazwanych później Kokosowymi. Wprowadził W. Brytania była formalnie suwerenem wysp, ale praktycznie stanowiły one prywatną posiadłość szkodliwych szarpanów. W 1955 r. Anglicy zrobili Australijczykom kłopotliwy prezent, cedując na ich rzecz swą suwerenność nad kokosową domenę Tuana Johna. Australijska grupa inspekcyjna, która odwiedziła wyspy w roku 1972, stwierdziła, że ich siedmiuset osobowa ludność (malajsko-chińska) żyła w stanie niewładnictwa. Ich skrajna bieda była błędnym kołem – wszystko, co zarobili, musieli wydawać w sklepikach należących do władcy. Rządził on tak autokratycznie, że nawet na zawarcie małżeństwa poczęcie dziecka trzeba było mieć pozwolenie. Tuan John nie podzielał opinii, że wyspy są „barbarzyńskim reliktem minionego stulecia”, urągającym cywilizacji. „Myślę, że są tutaj szczęśliwi” – powiedział o swych poddanych. W takim miejscu – dodał – łatwo się zaniedbać, stracić maniery, a jednak do kolacji zawsze siadałem obuty”.

KOJAK MYJE ZĘBY

■ Był to dzień, który wstrząsnął kampungiem Ibanów w głębokiej bruneskiej dżungli. Obcy ludzie wylądowali na warczącym ptaku, przywieźli jakąś dziwną maszynę i wielkie czarne pudło ze szklaną szybą. Wieczorem z pudła wyszły ludzkie głosy, a na szkiełkach zaczęły biegać kolorowe obrazy.

W ogromnym kamiennym lesie, bez drzew i kwiatów, duży mężczyzna z smieszłą bezwłosą czaszką wkładał sobie do ust kulke na patyku. „Myje zęby” – objaśnił zdumionym pobłażymcom w tajemniczo nico w sekrety cywilizacji soltys kampanga.

Tak więc Terry Savalas, czyli porucznik Kojak, zawędrował nawet na Borneo. Zł-całowy inżynier (zasilany generatorem), jaki zainstalowano w wiosce Ibanów, był osobistym prezentem sultana Brunsei. Wkrótce obdarzono w podobny sposób 200 dalszych osad. Do długich domów Ibanów i Merutów wtargnął przedziwny świat białych ludzi. Był to szok i to tym większy, że przynajmniej większość tych ludzi nie znała właściwie również kina; tylko nieliczni widzieli w mieście obrazy filmowe i to czarno-białe.

Nie więc dziwnego, że brunescy widzowie poczuli się zagubieni, wszystko, co oglądali, brali na serio i nie rozróżniali planów czasowych ani fikcji od dokumentu. Trzeba było tłumaczyć: „to dzieło się kilka dni temu, to jest program dla dzieci, to jest po to, żeby was rozśmieszyć, a to znów zdarzyło się naprawdę, ale dawno temu”.

Nowoczesność, nowoczesnością, ale trudno nie podzielać wątpliwości, jakie wzbudził już ten eksperyment. Może z czasem, gdy brunajska TV stworzy własny program będący z tego korzyści (w tej chwili lokalna stacja nadaje tylko wersety z Koranu oraz wiadomości bieżące). Importowane z Wielkiej Brytanii i USA filmy są po prostu dla tej widowni niezrozumiałe, z wyjątkiem niektórych programów sportowych czy przyrodniczych o życiu zwierząt.

Pierwsza fala ciekawości wraźnie opadła, zwłaszcza wśród dorosłych, gdyż dzieci zaspają ich pytaniami, na które nie umieją odpowiedzieć.



KULAWA TEMIDA

■ Podobno Temida jest ślepa, ale w Indiach jest ona także chroma. Młyny sprawiedliwości miśla tam tak ospale, że nieraz uczestnicy sporu umierają przed wydaniem ostatecznego werdyktu. W sądzie najwyższym stanu Karnataka pewna sprawa ciągnie się od lat 36, a więc zaczęła się jeszcze za panowania Anglików. Włoszący potewywał wówczas kawalerem rozglądającym się dopiero za żoną, dziś zaś jest dziadkiem i ma nadzieję, że wnioski doprowadzą proces do końca. Na półkach sądu najwyższego w Delhi leży 18 tysięcy zaległych spraw, we wszystkich sądach niższej instancji – miliony. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że sędziów jest za mało, ale i wskutek dość zawiłej procedury, która sprzyja wszelkiej zwłoczce. Adwokatów indyjscy są wspaniałymi mistrzami w przeciąganiu spraw i odpraczaniu ich praktycznie od calendar graecas przez nieustanne apelacje i wynajdowanie w dżungli ustawodawczej corse to nowych kruczków. Znany jest przypadek dwu wybitnych prawników, oskarżonych o oszustwo, którym przez ćwierć wieku udało się lawirować, zanim poszli wreszcie za kraty. Ostatnio jednak zaczyna się szukać sposobów, które zmieniłyby nieco tę sytuację. Np. jest propozycja wyznaczenia limitu czasu dla każdej sprawy, czy przedstawiania zrzekań i świadków na piśmie. Rząd poprosił także sędziów, by skrócili swe letnie wakacje z 6 do 4 tygodni i pracowali przez trzy godziny w soboty i o pół godziny dłużej w pozostałe dni – co pozwoliłoby zlikwidować zaległości.

POLSKI SHOW W BANGKOKU

■ Przez dwa tygodnie w czerwcu tego roku Bangkok był nasz. No, może nie zupełnie, ale w każdym razie nigdy jeszcze tyle nie mówiono i pisano tam o Polsce w tak skomasowanym czasie. Przyczyną tego zainteresowania był polski show, czyli zorganizowany przez ambasadę PRL w wykwintnym hotelu Ambassador przegląd niektórych produktów naszego przemysłu i kultury. Pokazane więc były traktory i medykamenty, odkurzacze i aparaty fotograficzne, piłki i łańcucha kulkowe, kuchenki elektryczne i „fiaty T25p”, wiertarki i barwniki, silniki Diesla i piły do metali etc. etc. Wyświetlono również serię filmów o tematyce bardzo rozgłębionej: od garncarstwa i rzemiosła artystycznego przez elektronikę i konie rasowe aż do Niemca, pilkarzy i junior marzarskich. Odbył się też specjalny pokaz filmu kawalerowicza „Pociąg”, połączony z konferencją prasową Lucyny Winnickiej, która na tę okazję pozwoliła się oderwać od swych dziennikarskich pasji.

Niewątpliwie na sukces imprezy wywarł znaczny wpływ fakt, że otworzył ją osobiście premier Kriangsak. Stworzony został w ten sposób precedens w sferze stosunków z krajami socjalistycznymi. Precedensem był zresztą też sam „show” – pierwszy tego rodzaju w Azji (tak właśnie reklamowany). Poza niewymiernymi korzyściami natury propagandowej, przyniósł on także profity konkretne. Od razu znacznie zwiększyła się sprzedaż „fiatów” oraz popularność naszego przedsiębiorstwa handlowego, a ściślej zainteresowanie możliwościami kupna polskich towarów, szczególnie zaś maszyn, mało na tym rynku znanych.

NASZE PRZERYWNIKI

■ Na wyspie Mindanao (Filipiny), w mieście Davao, istnieje manufaktura produkująca z muszli dzieła sztuki rzeźbiarstwa. Manufaktura ta funkcjonuje od lat pod nazwą Niewa shellcrafts, znana jest już nie tylko w Azji, lecz także w Europie, gdzie są stali odbiorcy tych szczególnych produktów.

Właścicielką firmy, a jednocześnie „naczelnym artystką” wytwórni jest od kilkunastu już lat pani Eliza N. Pununcialman. Jej kompozycje to głównie ozdobne parawany, abażury do lamp, ale nade wszystko – obrazy. Na oprawnych w ramy płótna, muszle i ich fragmenty układają się najczęściej – w fantazyjne ptaki, okryty, owoce, bukiety i kosze kwiatów. Starannie dobrana kolorystyka naturalnego tworzywa daje imponujące efekty i daleko odbiega od tandetnych podobnego typu produktów spotykanych dość często gdzieś indziej. Ale też pani Pununcialman dba o wysoki poziom swego rękodziela i kaze niszczyć bezlitośnie rzecz z jakichś tam względów nie w pełni udaną.

W Niewa shellcrafts na każdym kroku spotkać można wielkie skrzynie z posegregowanymi muszlami, których widok wstrząsnąłby niejednym europejskim kolekcjonerem. Wszelkiego rodzaju „stożki”, „porcelanki” i inne, często rzadkie okazy – znajdują się tam w ilościach imponujących. Te wszystkie wspaniałe muszle są zwykle... ciete na kawałki, przykrawane, selekcyjonowane. Żał patrzeć na dzieło zniszczenia doskonałych praców natury. Niemniej jednak to, co powstaje w Niewa shellcrafts, pozwala często godzić się z niszczycielską ingerencją człowieka we wspaniały świat naturalnych kształtów i barw.

Zdjęcia: J. Wolniewicz



ZNOWU PLYNIE WODA...

■ Impenium Inków zawdzięczało swą świetność m. in. doskonale zorganizowanemu rolnictwu. Prędzi „cyna słońca” potrafili znakomicie wykorzystać trudne do uprawy andyjskie ziemie. Budowali na stokach górskich tarasy, użyciali ziemię guano, nawozem lam i rybami. Na intensywnie uprawianych działkach hodowali ziemniaki, kukurydze, maniok, pieprz, pomidory, fasole i dynie.

W mistrzowski sposób rozwiązyli problem nawadniania suchych dolin budując system zbiorników, kanałów i akweduktów. Na wybrzeżu wydajność inkaskiego rolnictwa była o 20 proc. wyższa niż obecnie. Po hiszpańskim podboju kwitnące rolnictwo zaczęło upadać. Zniszczył zamiedbany system irygacyjny.

Niedawno brytyjska ekspedycja archeologiczna pracująca w dolinie Cuzcocha, kilkadziesiąt kilometrów od Machu Picchu, zrekonstruowała jeden ze starych kanałów. Obecnie znówu płynie nim woda. Obszar, na którym prowadzone są wykopaliska, dostarczał w czasach Inków znacznych nadwyżek żywności, podczas gdy dzisiejsi Indianie z trudem mogą utrzymać się ze swoich zbiorów. Brytyjscy archeolodzy są przekonani, że odbudowa starej sieci irygacyjnej odratowałaby wysoko wydajne rolnictwo Inków.

AGRESYWNE PSZCZOŁY

■ Nie wiadomo dokładnie, jak daleko dotarły już roje. W każdym razie 4 lata temu pojawiły się w Sumbii. Wędrując z prędkością około 320 kilometrów rocznie w ciągu kilkunastu lat mogą zagrozić południowym stanom USA. W 1957 r. z doświadczalnego ośrodka genetycznego w pobliżu São Paulo uciekło 3% królówch zrytańskich pszczół wraz z rojami. Sprowadzono je tam, aby spróbować krzyżówek z od dawna hodowanymi w Brazylii pszczołami europejskimi. Wkrótce uba gatunki rzeczywiście skrzyżowały się, tyle tylko, że poza kontrolą naukowców. Nowa odmiana przejęła główne cechy pszczoł afrykańskich: większą zdolność produkowania miodu, ale także szkodliwą agresywność. Wkrótce pojawiły się informacje o śmiertelnym pokąsaniu przez pszczoły. W Brazylii padło ich ofiarą około 150 osób i wiele zwierząt. W miastach straż pożarna utrzymuje czasem do 30 wezwań dziennie z prośbami o zniszczenie atakujących rojów. Afrykańskie pszczoły nie są bardziej jadowite od europejskich. Niebezpieczeństwem polega na tym, że atakują one wielkimi chmarami, a kilkadziesiąt wystarczy, żeby usmiercić człowieka. Naukowcy próbują wielu sposobów opanowania pszczołej inwazji. Większość z nich jest jak dotąd mało skuteczna.



SŁONECZNA ŚMIERĆ

■ Każdego lata północne i środkowe Indie zmieniają się w hutę pod gorącym niebem. Jest to upał suchy, powietrze ma niewielką wilgotność, a noc przynosi tylko nieznaczny spadek słupka rtęci, do temperatury, która kanikularne słońce Europy wywodzi dopiero w samo południe.

Tego roku indyjskie lato było wyjątkowo okrutne. Od początku maja aż do lipcowego monsunu temperatura w Nowym Delhi nie spadała poniżej 41°C (w cieniu oczywiście). Rekord ciepła padł 29 maja. Było wtedy 47,2°, ale w stanie Andhra Pradesh zarejestrowano jeszcze więcej: 48,1°. Nie spadła ani kropka deszczu, podczas gdy w ub. roku upał majowy wyniósł 33,6 mm, a dwa lata temu nawet 72,7 mm. Smutny widok przedstawiali ptaki, dyszące z otwartymi dziobami. Fasjacje wieśniaków indyjskie, sierzniowane spaleniem drzew nieruchomo, strachem swą zwykłą zwłok. Zdychały pory, podły kary, krowy przestawały dawać mleko. Wieczorami na wyrudzale, ale przestronne transeje przy India Gate ciągnęły tłumy, pragnące nieco odetchnąć po słonecznych kabuszach dnia. W starym Delhi ulice i zaułki, a także tarasy i płaskie dachy domów wypełniły się przed nocą „czorpami” (drewniane łóżka, wyplatane sznurkiem), gdyż o zmierzchu w czterech ścianach nie było mowy.

Nie najwięcej ucierpiał wiers, gdzie trudniej o wodę i cień. Na odsłoniętych, wyschłych chną proszek równinach Bihar i Uttar Prades, słońce zabijało. Nim przyszedł zbawczy monsun, udar poraził śmiertelnie kilkadziesiąt osób, w tym bardzo dużo dzieci. Wśród tych, które przeżyły, wiele będzie cierpieć na słoneczną chorobę popromienną. Nadmierne przegrzanie ciała spowodowało u nich obrzęk mózgu, otłuszczenie wątroby, a nawet trwałe oślepienie. Przez długi czas sądzono, że schorzenia te oraz nagminne zapalenia opon mózgowych u dzieci podczas lata – są skutkiem niedożywienia. Ostatnio badania naukowe wykazały, że to słońce w tym czasie działa tak na mózg dziecka. Podczas doświadczeń z małpami okazało się, że zwierzęta te wystawione na słońce przy temperaturze 43 stopni Celjusza marły po kwadransie.

TANČZYLI NA LODZIE W TROPIKACH

■ Jesienią ubiegłego zimy na obecnej nocy farnie w kilku krajach Azji Południowo-Wschodniej zrobiła polska wia na lodzie. Tak, na lodzie, chociaż lód nie kojarzy się raczej z tropikami. Zespół podróżował jednak ze specjalną maszyną do wywarzania tafli lodowej i pod tym względem

nie były większych kłopotów. Były za to inne trudności i przeszkody w tej wielkiej przygodzie kilkadziesiątu młodych artystów, o czym „Kontynenty” postarają się wkrótce napisać obszerniej. Na razie sygnalizujemy tylko, że Revue from Poland odwiedziła Filipiny, Singapur i Malezję, dając około 300 występów dla kilkaset tysięcy widzów. Wszędzie miała sympatyczne, a nawet entuzjastyczne przyjęcie i zrobiła ogromnie dużo dla dobrej propagandy polskości. Bywało, że widzowie przychodzili na spektakle z mapami, prosząc o pokazanie, gdzie znajduje się Polska. W programie, składającym się z dwu części, pierwszą była polska, m. in. z muzyką Chopina (nokturn), z suitą ludową (oberek i kujawiaki), z folklorem warszawskim (polki, sztafeta), „Czarna Manka”, był też marsz ulanski... Tańczyła Małgorzata z goralami”, „Pojadę dziewczynką w Aleje” i romanse cygańskie, a także numer z Brkiem i Łokiem. W mieście Ipoh w Malezji idee o przedstawił na cele dobroczynne, zaszczytlił je miejscowy sultan, o czym obszernie i ciepło donosiła prasa, nie szczędząca superlatywów (miał „przysięgę poezji na lodzie”, Pobył w Malezji zeszłą zarówno artysty, jak i kierownictwa wioły w osobach dyrektora Bogdana Bursowskiego i choreografa Stanisława Maciszewskiego (dawanej „Mazowsze”), wspomina bodaj najmilej. Opiekował się tam na nadzwyczaj serdecznie Józefina nasz Charge d'affaires w Kuala Lumpur p. Lesław Porebski z żoną. Wystąpił on nawet w roli urzędnika stanu cywilnego, udzielając w ambasadzie ślubu dwójce młodym członkom zespołu, których Amor poraził tak głęboko swą strzałą, że nie chcieli zwlekać z połączeniem się w węzeł, mijany nadziejodolnym.



NOWE OBLCZE BOBA

■ Mówią o nim, że brał udział we wszystkich niemal najważniejszych wojnach kolonialnych: domowych, próbach secesji, jakich widownią była Afryka i niektóre kraje Azji. Chodzi o niejakiego pułkownika Roberta Denarda z pochodzenia Francuza, byłego podoficera armii kolonialnej w Indochinach, a potem w Algierii. W 1960 roku, gdy niesłowne pamięci Moise Czumbe z Katangi montował secesję tej najbogatszej prowincji zairskiej, znalazł w Denardzie znakomitego wykonawcę swoich planów. Gdy secesja Katangi została zlikwidowana, Denard powrócił do Europy, ale na krótko. Zaciągnął się w szeregi najemników, z pomocą których obalony imam Iemenu D. Badr próbował w 1962 roku odzyskać tron. Potem Denard znów pojawia się na kongijskiej arenie, tym razem po stronie generała Mobutu, który walczył z wewnętrzną opozycją przy pomocy najemników.

JUSUF AS-SIBAI

Jusuf as-Sibai, współczesny pisarz egipski, urodził się w 1917 roku. Wybitny nowelista, powieściopisarz, a także republikański działacz polityczny. Był założycielem tzw. Klubu Powieści zajmującego się publikacją utworów współczesnych pisarzy Egiptu (klub wydaje stałą serię zwaną „Seria Złotej Księgi”). Jusuf as-Sibai napisał wiele nowel, a także powieści o tematyce społeczno-obyczajowej. Najbardziej znane to: „Ziemia fałszu”, „Sześć kobiet i sześciu mężczyzn”, „Nosiwoda zmarł”, „Zwróć moje serce” (dotyczy przewrotu dokonanego w 1952 roku przez Nasera).

Jusuf as-Sibai był mediatorem w wielu konferencjach, brał udział w rokowaniach pomiędzy krajami arabskimi. Ostatnio udzielał się w Lidze Państw Arabskich. Był także współzałożycielem i wieloletnim przewodniczącym Organizacji Solidarności Narodów Afryki i Azji (AAPSO). Podczas sesji prezydium tej organizacji, w 1977 r., został w Nikozji zastrzelony przez członków skrajnego, anarchistycznego ugrupowania Palestyńczyków.

Ja, twoja Kaja...

Wszystko to wydało mi się jakimś męczącym snem, straszonym koszmarem. Trudno uwierzyć, że wszystko to stało się naprawdę i że wraca do domu sam, pozostawiając żonę tam, skąd nie ma już powrotu. W głębi duszy jest przekonany, że odnajdzie ją w domu, usłyszy jej głos trochę rozdraszony, trochę miłosny pytający, co go zatrzymało i czy przyniósł jej to, o co prosiła, a może zapominał, jak zwykle. Potem zacznie opowiadać Nabilowi bajki, zaprowadzi męża do jego łóżeczka i pochyliwszy nad nim będą cieszyć się widokiem syna. Wpadł w odurzenie. Nie płakał, nie krzychał. Jego umysł odzierał

nawet myśl o jej śmierci. Wciąż czekał, że za chwilę obudzi się i uszyje zoną przy sobie, że opowie jej ten złowieszczy sen. Albo nie... nie nie będzie jej opowiadał. Nie może pozwolić na to, by dotknął jej smutek lub rozgoryczenie! Po co miałby wiedzieć o tym strasznym przywiderzeniu...

Drzwi otworzyła służąca Sekina, w załobie, zmarskociła, ze zwieszoną głową i zaczerwienionymi powiekami. Stała nie mówiąc ani słowa. Już miał zapytać: „Gdzie twoja pani?”, ale bezsensowne słowa utkwily mu w gardle. Nogi same pomiosły go tam, dokąd prowadziły zazwyczaj – do łóżeczka Nabila. Oglądał dziecko w milczeniu przy słabym świetle nocnej lampki. Nagle, wśród tej przygniamającej ciszy i uciążliwego milczenia rozległo się przerywane łkanie, tłumiony szloch. Odwrócił się i zobaczył Sekinę. Siedziała na podłodze oparta o łóżeczka, a całe jej ciało konwulsywnie drgało. Rozkazał jej uspokoić się i iść spać, ale Sekina nie ruszyła się z miejsca. Cicho odpowiedziała, że zostanie tutaj na noc, przy Nabilu: może się przecież obudzić, wołać lub o coś prosić. Pozostawił ją tam, gdzie chciała, a sam poszedł do siebie. W ubraniu rzucił się na kanapę. Nie był w stanie zasnąć.

Mijało kilka tygodni. Zaczął już stopniowo przychodzić do siebie, uświadamiając sobie, że żona zmarła i że musi się z tym pogodzić.

Pewnego razu zadał sobie pytanie, na które jak dotąd nie próbował znaleźć odpowiedzi: jak żyć, jak stać jego domowe sprawy? Mijał już prawie miesiąc, a życie płynęło po dawnemu, nie zatrzymywało się ani na chwilę. Był zdrowy, miał co jeść i nie był zaniedbany. Sekina, jak tylko potrafi najlepiej, dogląda syna, pilnuje domu, zmusza życie do tego, by szło startą drogą. To prawda, że ostatnio nigdzie nie wyjeżdżał i to pozwoliło mu być przy synu, ale to wcale nie znaczy, że on sam zajmował się jakimkolwiek domowymi sprawami lub robił cokolwiek dla chłopca. To Sekina gotowała, sprzątała, prała, karmiła i zabawiała Nabila, sściła jego postanie i chłopiec nie odczuł strasy. Wszystko to robiła w milczeniu i z pokorą, jak automat. Dzwie. Nie przypuszczał, że zmaidze w niej tyle umiejętności. Zawsze wydawała mu się bardzo głupia, niepomysłowa, nieprzemysłna. Ale, pomimo to, trudni się bez chwili wzdychania, jak niezwykłe, oddane zwierzę. Poznała jego upodobania i przyzwyczajenia i z jej twarzy prawie zupełnie znikła pieczęć tępoty i głupoty. A jednak nadal uważał, że nie wolno zdawać się na nią całkowicie... Trzeba znaleźć miłą dla Nabila. Niepodobna powierzać syna takiej głupstwiej istocie bez względu na jej oddanie i pracowitość. Przecież nie może wyjechać i zostawić na jej głowie cały dom. Jednakże okoliczności zmusiły go postąpić w ten właśnie sposób. Wracał do domu z trwogą i niepokojem. Ale wszystko tu zastał w znacznie lepszym porządku, niż się spodziewał zastać. Pokoje były posprzątane, a dziecko czyste i wesole. Teraz, ilekroć wracał z podróży, odnotowywał w myśli, że sytuacja w jego domu nie różniła się prawie zupełnie od układów z minionych lat. Cała różnica polegała na jednym: zamiast pięknej, szlachetnej istoty promieniującej radością spotykało go coś miłkłego, posępnego, ze zwieszoną głową, w wyswiechtanym ubraniu. Ukrywszy się w kuchni Sekina truduła się starannie tępo i z uporem przy gotowaniu posiłków lub przy praniu. Wreszcie twardo postanowił nie brać żadnej miłości i pozostawić Sekinie prowadzenie całego domu. Doskonale radziła sobie z gospodarstwem, a chłopiec również był do niej przywiązany. W ten sposób wszystko ułożyło się samo przez się. Mijały dni i tygodnie, stopniowo uspokajał się. Coraz bardziej zaczynał wierzyć w zdolności i szczerość Sekiny do tego stopnia, że wkrótce zdołał na nią wszystkie domowe wydatki, pozwolił swobodnie rozporządzać pieniędzmi zgodnie z jej wolą, bez jakiegokolwiek kontroli z jego strony. W głębi duszy był bardzo zadowolony z jej pracy. Nie podobało mu się tylko jedno: jej wytarne ubranie, zamknięty charakter i ten niezmiennie tępy wyraz (twarzy. Miał nadzieję, że czas naprawi wszystko, że sama uwierzy we własne siły z jej nową pozycją w domu i że jego dobre traktowanie zmusi ją więcej uwagi poświęcać swemu wyglądowi zewnętrznemu. Ale mijał czas, a Sekina nadal pozostawała niepozorna, skryta i niechłajna. Przestał o tym myśleć. Nie interesował się ani trochę jej wyglądem dotąd, aż pewnego razu zastał ją w momencie, kiedy półnaga siedziała na podłodze i coś tam prała w bali. Miała na sobie tylko lekką, podartą koszulkę, nogi były odsłonięte powyżej kolan, widać było jędrne piersi. Sekina zawstydzona się i pochyliwszy głowę próbowała naciągnąć koszulkę na kolana i zasłonić piersi. Jakkąś się wystrębiła, że pierze swoją sukienkę. Zamieszany zapytał: „Wiąg czemu nie włożyła innej sukienki?” i ze zdumieniem usłyszał: „Nie mam innej!” Odpowiedź ta przyparowała go o wściekłość, oświadczył, że nie jest aż tak biedny, żeby miała oszczędzać na własnym ubraniu, do jej wystarczającej pieniędzy, aby mogła kupić, co zechce. W duchu rozważał, że sam jest temu winien: to on powinien troszczyć się o Sekinę i kupować jej ubranie. Ten mały głuptas nigdy nie zdecydował się na to, by pójść na rynek i kupić za jego pieniądze cokolwiek dla siebie! Rezultatem tego niewielkiego wydarzenia stały się dwie sprawy: po pierwsze natychmiast kupił jej kilka sukienek od razu, a po drugie – zrozumiał niespodzianie, że Sekina wbrew jego woli, pochłania jego myśli, kaze widzieć w niej kobietę. Leżąc w łóżku, zamyka oczy próbując usnąć swoją wyobraźnią. Ale jego umysł jest podniecony, niespokojny, czuwa. Przed jego oczyma staje raz po raz Sekina siedząca przy bali. Zadziwiająca! Czyż mógł przypuszczać, że ta dziewczyna ma tak piękne ciało, że stare, żółte łachy kryły tak jedrny, młody pierś, i pełne, delikatne, czyste nogi. W podartej, lekkiej koszulce, ze wstydliwie opuszczoną głową wyglądała ponętnej niż ubrana piękność, którą oglądał w żurnalu. Próbowal przemóc się, nie poddawać się pokusie, przyzywał Allacha, Proroaka, pamięć swojej małżonki, myślał o swojej pozycji człowieka szanowanego, powoływał się na wszystkich i na wszystko, co tylko przychodziło mu do głowy, ale gładkie, kołyszące się pod występną koszulką piersi i delikatne, ciepłe nogi okazały się mieć nieodpartą siłę. Nic im się nie oparło. Z przerażeniem stwierdził, że jak lunatyk idzie w kierunku postania Sekiny.

Sekina nie sprzeciwiała się. Zawsze była dla swego pana wiernym, posłusznym zwierzęciem, gotowym na wszystkie ofiary, oddającym wszystko, byleby wywiązać się z obowiązków przed panem gorąco i szczerze. I tej nocy Sekina z całą wiernością i szczerością spełniła swój „obowiązek”. W ten sposób dowiedział się, że Sekina może użyć jego dobi, świadcząc mu, oprócz innych, jeszcze i tę usługę, której potrzebował najbardziej. W domu nic się nie zmieniło, odciąż do obowiązków Sekiny dołączył się jeszcze jeden, nowy. Pozostała zamknięta w sobie, skryta i może tylko trochę bardziej zaczęła dbać o swój wygląd. Znałwał w niej wszystko to, czego pragnął. Nie męczyła go więcej trwoga z powodu ukochanego syna, przecież Sekina była dla niego czulsza niż matka i troskliwsza niż oćiec. Nigdy nie próbowała nawet wykorzystać nowej sytuacji.



podajeś głowę, stać się w domu rozkazującą gospodynią. Pokorna i posłuszna nie pragnęła niczego innego, jak tylko służyć swemu panu i jego dziecku. Małżeństwo z Sekiną nie wchodziło w rachubę i to go uspokajało. Jej pozycja zawsze będzie niewspółmierne niższa, pozostasz tym, kim jest, będzie tak samo zadowolona i widocznie szczęśliwa.

Nie ulega wątpliwości, że życie nadal toczyłoby się równomierne i monotonne, gdyby wkrótce pewna okoliczność nie spędziła mu snu z powiek. Sekina zasła w ciążę. Z wściekłości nie mógł sobie znaleźć miejsca. Najwyraźniej stało się to już dawno – późno to zauważył. Przecież brzechw widział się już wyraźnie tak, jak to bywa w czwartym lub piątym miesiącu ciąży. Zapytał ze złością, dlaczego nie powiedziała mu o tym od razu. Zrozumiał, że ta idiotka nie tylko nie zmartwiła się tym, co się stało, a wręcz odwrotnie jest uradowana i dumna. Zamysłił się z trwogą. Jeśli Sekina urodzi dziecko, będzie zmuszony ożenić się z nią, a wtedy stanie się panią domu i macochą dla jego syna. Gdyby nawet zdecydował się na hańbę człowieka, który ożenił się z własną służącą, to i tak nie mógłby na to przystać ze względu na syna. Przecież wtedy na pewno się zmieni, całą swoją crucość skieruje na nowe dziecko, a jego syn stanie się jej przeklętym wrogiem, jakimi zawsze są cudze dzieci dla macochy. Pokorna, posłuszna Sekina przestanie istnieć. Nie, nie, musi czym prędzej uwozić się od płodu, musi przetrwać tę ciążę bez względu na konsekwencje! Zawołał ją do swego pokoju i powiedział rozkazującym tonem:

– Ubiertas się, musimy pójść do lekarza.
Nie poruszyła się, nie uczyniła najmniejszego gestu, opuściła tylko głowę. Potem wyrzekła cicho:

– Jestem zdrowa, mój panie. Nie muszę iść do lekarza.
– Lekarz dokona przerwania ciąży.
Sekina potrząsnęła głową. Najwyraźniej nie rozumiała znaczenia jego słów. Powtórzył:
– Lekarz uwolni cię od tego, co masz w sobie.
Na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Pokożywszy strachliwie rękę na brzuchu spytała:
– Uwolni mnie od niego? Dlaczego, panie mój?
– Nie powinno być żadnych śladów tego, co zaszło pomiędzy nami.
– Schowam je, kiedy się urodzi. Nie pokażę nikomu.
– Nie chcę tego.
– Ale ja chcę, panie mój.
– Odkąd to zacząłeś wyjawiać swoje życzenia, głuptasku?

– To jest jedyny raz, kiedy czegoś chcę. Nigdy więcej nie będę o nic prosił. Ja błagam, panie mój. Chcę zachować we mnie to, co mam od pana. Nie będę niepokoił pana z jego powodu. Będzie tylko moim synem, a dla pana sługą takim, jaką zawsze byłem ja sama. Nikomu nie powiem, że to pańskie dziecko. Powiem, że od jakiegoś przechodnia. Proszę mi go podarować. Jest to jedyny prezent, o który błagam. Kocham go tak, jak kocham wszystko, co jest z panem związane.

Oszkodziły go jej gorące, szczerze słowa. Błada! Nawet nie podejrzewał, że to głupie zwierzę posiada serce przepelnione miłością do niego. Jednakże... Szaleństwem byłoby jej ulec, nie, nie jest mięczakiem. Musi być twardy – nie w imię własne, lecz w imię syna. Tak, nie wolno poddawać się uczuciom. Należy być człowiekiem czystym. Sekina wraz ze swym brzemieniem jest wielkim ciężarem. Bez tego jest tysiącokrotnie bardziej przyteczna. Spojrzał na nią i opuszcł głowę, a potem uczył stanowczo:

– Nie chcę go. Jeśli kochasz mnie naprawdę, to powinienś pragnąć tego samego, co ja. Powiniensy się go pozbyć.
– Dobrze, mój panie.

Wiedział, że przerwanie ciąży, zwłaszcza tak późno – to niełatwa sprawa. Ciężko będzie znaleźć lekarza, który podejmie takie ryzyko. Doktor Sejjid Ibrahim, kuzyn jego, jest jedynym lekarzem, którego może zaufać, który może zdecydować się na taką operację przez wzgląd na niego. Jest to odważny, szlachetny człowiek. Na pewno zrozumie wszystko i zgodzi się z tym, że operacja jest nieunikniona. Sekina stała u jego boku. Patrzyła w ziemię. Jej twarz była nieruchoma i pozbawiona życia. Tuż przy drzwiach do poczekalni spojrzął na nią i powiedział cicho:

– To nie, Sekino, wszystko będzie dobrze. To prosty zabieg. Nie apieralbyś się przy tym, gdyby nie mój syn. To tylko przez wzgląd na niego... Chcę, żebyś myślała tylko o nim...

– Tak, mój panie.
Sam wszedł do gabinetu, a ona została w poczekalni. Lekarz słuchał w milczeniu, coraz bardziej zdziwiał się tej opowieści. Wreszcie potrząsnął głową i rzekł: „Pięć miesięcy! Ciężki zabieg!”

– Wiem, ale trzeba to zrobić. Przez wzgląd na Nabila.
Lekarz ukończył zabieg. Sekina ucichła. Pozbyła się tego, czego nie pragnął jej pan, ale za drogą cenę – za cenę życia. Obiegła pokój zmętniałym wzrokiem. Jej oczy zatrzymały się na pobladłej twarzy lekarza. Na ustach pojawiło się coś na kształt sztycherzego uśmiechu. Powiedziała słabym, niepewnym głosem:

– Doktorze...
– Słucham...
– Czy już go zabiegam?
– Tak.
– Czy pozbyłam się tego, co było we mnie?
– Tak.
– Ach, gdyby wiedział!...
– Co powinien był wiedzieć?
– Gdyby wiedział, że pozbyłam się jego syna... przez wzgląd na syna innego mężczyzny.
– Miller! Nie wolno ci rozmawiać. Musisz odpocząć.
– Odpocznę już wkrótce... Na zawsze potęgnam się ze wszystkim... Niech pan sobie wyobrazi, doktorze, pozbył się własnego syna w imię... pańskiego! Niech pani sobie wyobrazi!...

– Młecz! przestań bredzić!
– Nie bredzę. Pan najlepiej zna prawdę. Tylko ja jedna wiedziałam o panu i jego żonie. Pan doskonale wie, że urodziła Nabila od pana. Prosiłam zostawić mi jego prawdziwego syna, którego w sobie nosiłam. To było jego dziecko, ponieważ ja nie kłamalam i nie zdradzałam go. Ale on odrzucił moją prośbę, przecież ja, Sekina, jestem głupią, posłuszną służącą.

– Dość tych bredni, szalona!
Drzwi otworzyły się cicho. Wszedł on, błądy, ze skamieniałą od strachu twarzą. Zapytał drżącym głosem:

– Co z nią?
Lekarz odpowiedział:
– Nic. Bredzi...
Sekina podniosła oczy na swego pana, wyciągnęła rękę, a potem znalazłszy jego dłoń przytrzymała ją do swych nieruchomych warg i zamknęła oczy.
Nie powiedziała już więcej ani słowa.

Tłumaczyła z arabskiego: ELEONORA KARPUK

MAHMUD TAJMUR

Mahmud Tajmur, egipski nowelista, dramaturg. Urodził się 16 czerwca 1894 roku w Kairze. Tematem jego licznych opowiadań są sceny z życia biednych mieszkańców miast i wsi. Do bardziej znanych należą: „Córka diabła”, „Wolanie nieznanego”, „Opowieści z egipskiego życia”.

Oddaję ci całą swoją duszę...

Moji przyjaciele Farid i Abbas zaprosili mnie na parę dni do swojego rodzinnego letniska w Sidi Biszr. W Kairze panował nieczysty upał i z radością przyjąłem to zaproszenie. Farid i Abbas to bracia żonaci z dwiema siostrami, mieszkają razem w przyjaźni i zgodzie. Kiedy pociąg przybył do Sidi Biszr, cała rodzina oczekiwała już mnie na peronie. Gdy tylko wyskoczyłem z wagonu, na szyję rzuciła mi się Tullaha, siedmioletnia córeczka mojego przyjaciela Farida. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć żywszego i bardziej zabawnego dziecka. Dlatego zawsze przywoziłem dla niej górę zabawek, które rozdawałem co dzień po jednej.

Dobrze czułem się w tej kochającej się i zycielskiej dla mnie rodzinie. Mijały dni... Pewnego razu siedziałem przy oknie w swoim pokoju i przeglądałem angielską powieść. Z książki wypadła niewielka kartka papieru. Był to liścik składający się tylko z jednego zdania: „Kocham cię i oddaję ci całą swoją duszę!”

Długo oglądałem tę kartkę, przeczytałem ją parokrotnie. Ogarnęło mnie głębokie zdumienie, charakter pisma był kobiecy i delikatny... i byłem pewien, że dopiero dzisiaj ten skrawek papieru znalazł się w mojej książce. Miałem tę powieść u siebie od chwili przyjazdu i raz po raz zabierałem się do czytania. Książka stała leżała tutaj na kanapie, stał kobiecy, która to napisała, mogła włożyć kartkę tylko wtedy, kiedy była w moim pokoju. Ale kim jest ta kobieta? Nie było tutaj osób postromych. A więc ta kobieta... mieszka tu, w tym domu? Zadzerałem. Ogarnął mnie niepokój. Chcąc zebrać myśli zacząłem nerwowo przechadzać się po pokoju. Potem zatrzymałem się, ze złością zmyłem paperek i odrzuciłem precz. Wyrzaliłem przez okno i zobaczyłem w ogrodzie moich przyjaciół z żonami: siedzieli pod czerwonym parasolem. Krzyknąłem do nich:

– Drodzy przyjaciele! Poswóćcie zapewne was, że nie jestem taki głupi!
Zwrócili ku mnie zdziwione, pytające spojrzenia.



- Wazę spisek został odkryty! - kontynuowałem. - Nie wyszedł wam ten figiel! To wszystko, co chciałem wam powiedzieć!

- Niech cię Allah zachowa przy zdrowych zmysłach! - zaśmiał się Abbas.

Dzień mijał zwyczajnie. Nie wspominałem już więcej o swoim sekrecie. Kiedy przyjaciele pytali mnie o tajemniczy spisek i o przyczyny mojego rozdrażnienia, śmiałem się i zmieniałem temat rozmowy. Sądziłem, że to nieudany żart i postanowiłem nie poruszać więcej tej sprawy. A jednak nieustannie myślałem o zagadkowym liście i nieraz powtarzałem w myślach jego słowa. Wystarczyło, że znalazłem się w towarzystwie moich przyjaciół i ich żon, a przysłapywałem się na tym, iż uporczywie oglądam kobiety, porównując ich urodę...

Następnego dnia znowu znalazłem w tej samej książce kartkę o tej samej treści. Zerwałem się z kanapy, na której przed chwilą położyłem się z myślą o lekturze, żeby niezwłocznie położyć tym zarotom kres. Przechodząc koło lustra zwołałem na mgnienie oka, zatrzymałem się, potem odsunąłem się, zbliżyłem się znowu... spoglądał na mnie młody, szczupły człowiek, niewielkiego wzrostu, o przyjemnej smudej cerze. Faliste włosy... oczy nie duże, ale promienne, śmiejąc się - bez wątpienia jest w nich coś ujmującego. Co też wymyśliłi moi przyjaciele mówiąc, że przypominają ci czy kota! Ogólnie rzecz biorąc jestem niebrzydki, nawet całkiem przystojny. Jednakże wszystko to nie w porównaniu z wesołym ułożeniem, dowcipem, bystrością mego umysłu.

Początkowo moje podejrzania padły na Amal, żonę Abbasa. Używała tych samych perfum, jakimi pachniała kartka, bywała też w moim pokoju, ponieważ do jej obowiązków należało dogadywanie służ, którzy sprzątała pomieszczenia. Zainteresowała się tą niezbyt dużą powieścią, w której znajdowałem listki i przyznała się, że ją przejrzała. Jednakże już wieczorem, po kolacji, wiedziałem, że perfumy należą do Hajat, i tylko używa ich czasem owojej siostrze. Ona również bywała w moim pokoju, ponieważ jest tam komoda, w której przechowuje się białinę pościelową, a pieczą nad białiną leży w jej obowiązkach. Moje chytre pytania i odpowiedzi, które na nie otrzymywałem raz, tak mi się wydawało, wyjaśniły sprawę, to znowu ją gmatwały. Mijał dzień, a zagadka pozostawała nie rozwiązana. Moja niepewność i wahania nasiliły się. W przeciągu kilku następnych dni nadal otrzymywałem kartki. Odkryłem w sobie skłonność do samotności. Nie mogłem zasnąć nocą. Jak zazwyczaj siedziałem w swoim pokoju przy oknie, patrząc w gwiazdy. Marzyłem „o niej”. Oto zbliża się lekkimi krokami... Wyręczałem słuch, żeby uchwylić szelest jej sukni. Idzie ku mnie... rusza się w moje objęcia... Ona... ona... Ale kim jest? Hajat czy Amal? Nie mogłem się zdecydować, którą z nich wolę. I jedna, i druga oblańwały urodą. Ale czyż obie nie są żonami moich przyjaciół? Sumienie gryzło mnie i dręczyło, tak że postanowiłem uciec... Wyjeżdżam jutro, po cichu, tak żeby nikt nie wiedział... w ten sposób uratuję honor rodziny: bałem się „za nią”. Bałem się, że podczas pożegnania może niechętnie zdradzić się ze swoją tajemnicą.

Przy śniadaniu byłem milczący i zafasowany: obmyśliłem sformułowanie listu, który miałem zamiar zostawić przed wyjazdem w swoim pokoju. Chciałem, żeby miał podwójny sens: jeśli przeczyta go ktoś z braci, nie powinien dostrzec w nim niczego prócz pożegnalnego pozdrowienia, a jeśli przeczyta go „ona” - od razu zrozumie jego ukrytą wymowę.

Przyjaciele spostrzegli moje roztagnienie, ale nie pytali o nic. Próbowali mnie rozweselić, ale ujrawszy, że nie jestem usposobiony do śmiechu, pozostawili mnie w spokoju. Po

śniadaniu poszedłem do swojego pokoju, przysunąłem okno, położyłem się na kanapie, zamknąłem oczy usiłując zebrać myśli i przywrócić sobie spokój. Wszystko było przygotowane oprócz listu. Leżąc z zamkniętymi oczyma rozmyślałem nad tym, jak powinienem go napisać.

Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś szmer. Moje serce zamarło. Niewątpliwie ktoś stał za drzwiami... Z podniecenia nie mogłem złapać tchu. Udałem, że śpię. Drzwi otworzyły się cichutko i usłyszałem lekki szelest sukni. Coraz bliżej... Otwieram oczy i widzę... Kogo? Tuffah! Bierze angielską powieść i wkłada do niej kartkę papieru.

- Co robisz, Tuffahu! - zawałowałem.

Dziewczynka odwróciła się z przestraszeniem, potem pokornie opuszczyła głowę i powiedziała:

- Przysięgam na wielkiego Allacha, że nic nie robię!

Wzięłem książkę, wyciągnąłem kartkę i od razu poczułem zapach perfum. „Kocham cię i oddaję ci całą swoją duszę” - przeczytałem. O! Gotów byłem chwycić dziewczynkę i wyrzucić ją przez okno!

- Pogrzebałaś się? - zapytała obejmując mnie.

- Nie, ucieczyłem się! - odpowiedziałem oblaśniony rumieńcem. Ale widząc, że rozpacza się lada moment, posadziłem ją sobie na kolanach i zapytałem:

- Czy cię tego ktoś nauczył?

- Nikt mnie nie uczył, przysięgam na Allacha!

Więc, to znaczy, że pisałś w własnej woli? Sama pisałś te kartki i wkładałaś je codziennie do książki?

- Tak - skinęła głową i pokazała swoje palce wysmarowane atramentem.

- Ale po co żeś to robiła?

- Ponieważ kocham cię - odpowiedziała, a jej oczy napędlły się łzami. Popatrzyłem na nią uważnie.

- Czy bardzo mnie kochasz?

- Tak - potwierdziła spokojnym jak zwykle głosem. - Kocham cię i oddaję ci całą swoją duszę.

Rozesmiałem się i mocno przytuliłem dziewczynkę do siebie.

- A od kogo nauczyłaś się tych słów?

- Od mojej nauczycielki języka arabskiego. Ona bardzo często je powtarza.

- Tobie to mówi?

- Nie, nie mnie. Ona mnie nie kocha ani ja jej. Zawsze wypowiada te słowa w klasie, nie patrząc na nas, potem wzdycha głęboko, pisze te słowa na bibule... i wkłada do książki nauczycielki od arytmetyki.

- A dlaczego ukrywałaś to przede mną?

- Nasza nauczycielka również ukrywa to przed nauczycielem.

Wyciągnąłem z szafy tabliczkę czekolady i dałem ją dziewczynce. Potem podeszliśmy do okna i zobaczyłem Hajat i Amal, spacerujące po ogrodzie. Długo stałem przy oknie patrząc na nie i milczałem. Następnego dnia rano spakowałem swoje rzeczy i pojechałem do Kairu. Przez cały tydzień nie chciałem nikogo widzieć... i nie patrzyłem w lustro!

Tłum z arabskiego: ELEONORA KARPUK

* Sili Bost - niechowała wyuczycielka w pobliżu Aleksandrii

VALENTINE SENGEBAU

(Mikronezja)

Ostatnia wizyta

Oczami pamięci

Czytałem twe imię

Na kartach umysłu.

Sledziłem

Twe uśmiechy

Jak

Kulisy teatru.

Widzę twe twarze

Współnie

Spotykam cię

W snach.

Mówię do ciebie

W marzeniach.

W myślach

Chodzę przy tobie.

Powol

Wymawiam twe imię

A ty znikasz

Jak łagodny

Zachód słońca.

Jestem jak

Prak morski

Krócy krzycz

Wśród

Huczącego morza.

Budzę się

Ramiona mam

Skrzyżowane na

Mym sercu.

Uśmiecham się

Do Ciebie

Wrokiem.

I szepczę

Twe imię.

„Dzięki

Żeś przyszła

We mnie”

Mam nadzieję.

Tłum. (RAF)

Muzeum przy Moście Księżycowym

Bydąc w Stambule chciałem odwiedzić dom Adama Mickiewicza, słyszałem, że działa w nim muzeum poświęcone poecie i zorganizowane przy pomocy strony polskiej. Dom, owszem, znalazłem przy ulicy niosącej imię naszego wieszczki romantycznego. Umieszczone są na nim tablice pamiątkowe, muzeum jednak nie ma; podobno można oglądać pokój, w którym zmarł Mickiewicz, ale nie widziałem go, bo dom był ekurat pozamykany. A ogólny jego stan wywołuje raczej smutne wrażenie. Nie dowiedziałem się, kto się nim opiekuje i czy w ogóle ktoś się nim opiekuje. Myślałem, że – ze względu na dościeszca liczną Polonię stambulska (potomków XIX-wiecznych emigrantów) i wielu polskich turystów ciągnących nad Bosfor – powinniśmy w kraju zainteresować się zorganizowaniem stałej i z prawdziwego zdarzenia ekspozycji mickiewiczowskiej, której mógłby np. patronować polski konsul.

(Leszek Mańkowski, Kraków)

Sprawa jest dościeszca skomplikowana, przede wszystkim ze względów prawnych. Mickiewicz nigdy nie był właścicielem domu. Przyjaciela wynajmował mu skromny pokój w dzielnicy Papas Koprur, to znaczy Przy Moście Księżycowym. Zajmował go kilka tygodni za tysiąc i kilka tygodni po śmierci – zanim uzyskano pozwolenie na przewiezienie zwłok choleryka (według przyjętej wersji, podważanej przez niektórych badaczy Mickiewicza zmarł na cholerykę do Paryża. W roku 1870 podczas wielkiego pożaru dom spłonął. Za sprawą Polaków Gropplera i Ratynskiego wybudowano na jego miejscu w 1885 r. nowy budynek, który – jak zarzekali się naoczni świadkowie – wzniesiony był ściśle według planu starego. Wydarzenie to upamiętnia tablica „Na pamiątkę postawiony ten dom na tem miejscu, gdzie 26 listopada 1855 roku zmarł Mickiewicz”. Obok niej w 1933 r. umieszczono następną tablicę „1855–1933. Naszemu wieszczowi Adamowi Mickiewiczowi w rocznicę zgonu – Polacy w Stambule 26.XI.” Droga różnych spadków dom przeszedł w ręce tureckie. Już w 1902 r. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza zorganizowało zbiórki pieniężną na wykupienie domu, w którym miało się pomieścić muzeum polskich pamiątek na Wschodzie. Z braku dostatecznych środków projekt nie doczekał się realizacji. Po drugiej wojnie światowej Turcy Polacy przy pomocy polskiego konsulatu odtworzyli pokój, w którym miał umrzeć poeta; Muzeum Literatury im. Mickiewicza przesłało kopie niektórych dokumentów. Stała ekspozycja mickiewiczowska ma szanse powstania w niedalekiej przyszłości. Od pewnego czasu trwają pertraktacje między ministerstwami spraw zagranicznych zainteresowanych państw. Rząd turecki obiecuje wykupić dom z rąk prywatnych i oddać w dyspozycję polskiej ambasady. Wtedy będzie można przeprowadzić generalny remont zniszczonego budynku i przystąpić do zorganizowania stałej wystawy. Za jej kształt odpowiedzialne byłaby placówka najbardziej do tego powołana: warszawskie Muzeum Literatury im. Mickiewicza. Jego energiczny dyrektor Janusz Odrowąż-Pieniążek z pewnością we właściwym czasie poinformuje o tym fakcie prasę.

Podobnie jak stambulski dom Mickiewicza, zmianie były losy ulicy, przy której stoi. Początkowo nazywała się Adam sokak, czyli ulica Mężczyzny. W okresie młodotureckich innowacji przemianowano ją na Hanım sokak – ulicę Kobiet. Dopiero interwencja polskiej ambasady wyjątkującej, że imię poety brzmiało właśnie „Adam”, spowodowały, iż uwieczniono pełnym imieniem i nazwiskiem autora „Dziadów” w nazwie małej ulicy przy Moście Księżycowym.

Sanjay bez teki ministerialnej

Przygotowywałem swieża pracę magisterską na temat Indii i jako człowiek dościeszca nieco zorientowany stwierdziłem, że to „Kontynenty” (patrz nr 6 str. 42) – a nie Indira Gandhi – powołały do rządu Sanjaya Gandhi. Syn byłej pani premier nie miał nigdy teki ministra informacji i radiotelefonii, ani w ogóle nie zajmował żadnego oficjalnego stanowiska politycznego, aczkolwiek w okresie stanu wyjątkowego (czerwiec 1975–marzec 1977) był szarym eminencją rządu pani Gandhi. (Andrzej Romanowski, Warszawa)

Czytelnik nasz ma rację. Sumując się nieuwagą z zawstydzeniem „odwołujemy” z rządu Sanjaya. Mieliliśmy tylko o tyle rację, że w sprawie sądowej, w której głównym oskarżonym jest Sanjay Gandhi, wmięszany jest również minister informacji i radiotelefonii z byłego rządu, V.C. Shukla. Przypominamy, dochodzenie sądowe od dłuższego czasu prowadzone w Nowym Delhi dotyczy tajemniczego zniknięcia filmu zarekwizowanego przez II Ministerstwo Informacji i Radiotelefonii. Film nakręcony został w 1975 r., nosi tytuł Kiss Kursi Ka L. Odpowiedź o kraje! W Indiach mówi się w skrócie film „KKK”). Producentem jego jest dotychczas mało znany filmowiec Amrit Nahata. A trąsca – ostra krytyka ludzi pozostających przy władzy, niedowzważająca nawiązująca do pewnych osobistości stojących w owym czasie na ówczesnym politycznym. Film zawierał oczywiście aluzje do innego skandalu autorstwa Sanjaya – nie zrealizowanego projektu samochodu „Meruti”; właściwie był satyrą na całe towarzystwo, w jakim obracał się syn Indiry Gandhi. Dla ludzi zorientowanych odcyfrowanie poszczególnych osób nie było trudne.

Amrit Nahata ubiegając się o zezwolenie na rozpowszechnienie filmu, przedstawił go w Min. Informacji i Radiotelefonii, gdzie tamtych zatrzymano do dyspozycji centralnego rządu. Mieli pozostać, jak oznajmiono autorowi, w depozycie urzędu cenzorskiego. W rzeczywistości zaginęły. Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, a śledztwo wykazało, że wszystkie negatywy zostały spalone na rozkaz Sanjaya Gandhi w fabryce samochodowej Meruti, którą zarządzał. Filmy ostatecznie spalił w ciągu dwóch kolejnych listopadowych nocy 1975 r. urzędnik bezpieczeństwa fabryki, do czego przyznał się składając zeznania. Sanjay natomiast mającego rok spędził w delhijskim więzieniu Tihar jako „gość rządu” – sąd zdecydował zatrzymać go, żeby nie miał wpływu na zeznania świadków. Prasa indyjska szczegółowo informowała o więziennych zajęciach bon vivanta. Po jego wyjściu na wolność pisano z nadzieją, że miesięczny pobyt w więzieniu winien wyłuszczyć syna byłej pani premier z arogancji i pogardy dla prawa.

Spis treści 1977

Starym zwyczajem, prosimy Czytelników, którzy chcieliby otrzymać spis treści „Kontynentów” za rok ubiegły, o listowne zgłoszenia do redakcji (Senatorska 35, 00-089 Warszawa).

Dla ułatwienia wysyłki, prosimy wszystkich o czytelne podawanie adresów. Przepraszamy, że w tym roku spis treści ukazuje się później, niż w latach ubiegłych.

Wymienią „Kontynenty”

Aleju Andrzejczyk, ul. Wrocławska 56 m. 2, 56-200 Góra, woj. Leszno Wlkp. – odstąpił nry 3, 5–12/1976; 1–12/77; 2–4/78.

Bogumiła Andrzejczuk, ul. Gagarina 42, 17–100 Bielsk Podlaski – posiada nry 1, 7, 11, 12/1977.

Tadeusz Ozdowy, skr. poczt. 41, 09-400 Płock – odstąpił nry 12/74; 11, 12/1975, 1–11/76, 1–12/77.

KRZYŻÓWKA Z PANDĄ

POZIOMO: 3. Wyspa koronowa na O. Indyjskim u wsch. wybrzeży Afryki; 7. Drugi człon nazwy przedsiębiorstwa handlu zagranicznego eksportującego kompletne urządzenia przemysłowe; 8. Państwo na Półwyspie Arabskim; 9. Królestwo w Himalajach; 10. Największa wyspa w grupie Małych Wysp Sundajskich; 11. Nazwa formacji roślinnej, przysiółkowej między lasem a stepem w Ameryce Płd.; 12. Jednostka monetarna Japonii; 14. Największa rzeka Afryki; 15. Polski zesłaniec, autor pracy „Fizjologiczne i biologiczne dane o Jakulach” (Kontynenty nr 4/78); 17. Miasto i port na wyspie Honaiu; 19. Zwierzę z rodziny szopów, zamieszkuje lasy Himalajów i płd.-zach. Chin; 22. Rzeka w Wenezueli, dopływ Orinoko; 24. Stolica stanu Australia Zach.; 25. Włókno powroźnicze otrzymywane z liści agawy; 26. Stolica Algierii; 27. Prowincja Zairu.

PIONOWO: 1. Stolica stanu Pernambuco we wsch. Brazylii, ważny port nad Atlantykiem; 2. Najwybitniejszy podróżnik średniowieczny, autor „Opisania świata”; 4. Rysunek terenu; 5. Ciekły stop krzemienowy, który wypływa z wulkanów w czasie wybuchów; 6. Miasto na Tajwanie; 13. Rzeka w Kirgiskiej i Uzbekkiej SRR; 14. Struś zamieszkujący stepy Ameryki Płd.; 16. Kraja w RPA; 18. Włóknina płaszcz z kapturą noszona przez Beduinów; 20. Żeglarz portugalski, który pierwszy dotarł do Przylądka Dobryj Nadziei; 21. Saak morski z rodziny delfinów, żyje w Atlantyku i O. Spokojnym; 23. Kwarc o dużej twardości i szkieletu budowie.

Rozwiązania należy nadesłać do 10 dni po ukazaniu się numeru na adres redakcji (00-089 Warszawa, ul. Senatorska 35) z dopiskiem na kartach pocztowych „Krzyżówka z pandą”. Do rozlosowania 10 ciekawych książek.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NOSOROŻCEM Z NRU 7/78

POZIOMO: Zangulak, car, apł, gorylki patki, Galla, godło, napa, Sosagol, odem, Kusz, Chabrugol.
PIONOWO: dogi, Kubary, Iaka, Karite, pejsi, ososzelec, Skagerak, Okady, Idrisi, expos, Naha, Irak.

Książki wylosowali: Mieczysław Kozłowski, Nowy Sącz; Kazimierz Krakowski, Lwówek Śl.; Krzysztof Kurjański, Nowa Sól; Maria Lamparska, Wrocław; Marek Lemański, Elk; Natalia Lipińska, Łuszców; Jolanta Mianowska, Poznań; Jolanta Sarna, Nowy Sącz; Stanisława Waleja, Poznań; Aleksander Waleziński, Jagón.

KARTKA Z KLASERU



W stulecie urodzin

■ Poczta republiki Górnej Wolty wydała okolicznościową serię znaczków poświęconą Albertowi Schweitzerowi. Ten wybitny muzykolog, filozof, a przede wszystkim lekarz i misjonarz całe życie poświęcił chorem. W 1913 roku wraz z żoną wyjechał do Gabonu, gdzie był pionierem lecznictwa zamkniętego wśród Afrykanów. Za pieniądze uzyskane z honorariów autorskich i recitali organowych założył i wyposażał szpital dla trędowatych, którym kierował aż do śmierci w roku 1965. Był wybitnym znawcą i odtwórcą muzyki organowej J. S. Bacha. W 1952 roku otrzymał pokojową nagrodę Nobla. Na wszystkich znaczkach serii widnieje podobizna Alberta Schweitzera; ptaki obok niego to kolejno: pelikan baba (znaczek za 5 franków środkowoafrykańskich – CFA), kuglarz (15 franków CFA), toko białogrzbiety (150 franków CFA) i kondor królewski (200 franków CFA).

M.K.

KUCHARZ EGZOTYCZNY

Kurczak po meksykańsku

Składniki: kurczak (1–1,5 kg), szklanka białego wytrawnego wina, 15 dkg boczku pokrojonego w cienkie plasterki, cytryna, duża cebula lub dwie mniejsze, 2 łyżki tłuszczu (masło lub olej), goździki, sól.

Kurczaka wymyć, posolić, obłożyć plasterkami boczku i starannie obwiązać cienkim, a mocnym sznurkiem, tak by boczek nie odpadał. Rozgrzać na większej patelni tłuszcz i lekko zarumienić na nim garniowanego kurczaka. Przełożyć go z patelni do dużego rondla, nadziewając cytryną nakłutą w kilku miejscach widelcem i cebulą naszpikowaną goździkami, zalać winem i gotować pod przykryciem około trzech kwadransów – aż kurczak będzie miękki. Jeśli wino wyparuje, dolać odrobinę wody. Po ugotowaniu wyjąć cytrynę i cebulę, pokroić kurczaka na porcje, obok na półmisku ułożyć kawałki boczku, zalać winnym sosem – podawać z ryżem lub gorącymi *tortillas* (przepis w nr 5/76). Proporcje na 4–6 osób.

(ek)



Na okładce

- 1 NIGERYJKA Z LAGOS
Fot. G. Czekala
- 2 INDIANKA BOLIWIJSKIEGO ANTIPLANO
Fot. C. Jones (Camera Press-CAF)
- 3 REWOLUCJONISTA Z ADDIS ABEBY
Fot. R. Kapuściński
- 4 PEJZAŻ KASZMIRSKI
Fot. J. Chociłowski

W następnym numerze

BLOK ARTYKUŁÓW O KANALE PANAMSKIM:

- R. Samsel – Bez piątej granicy
- E. Dzikowska – Jak ich nauczył Ibeorkún
- Jadwiga Puskarska – Brama do Ameryki
- E. Górska – Molas: błuzki czy obrazy?
- Chronologia Kanału

PONADTO PISZĄ:

- J. Chociłowski – Tajlandia przeciw narkotekom
- G. Czekala – Życie po kampalsku
- E. Dzikowska – Spojrzenie na świat zwany Nowym
- W. Giełżyński – Urodzony w Bandungu
- Z. Skrok – Piraci Najdalszego Zachodu

KONTYNTY: REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: J. Chociłowski (z-ca redaktora naczelnego), G. Czekala (kier. działu Afryki), E. Dzikowska (kier. działu Am. Łac.), W. Giełżyński (kier. działu Azji), T. Marzyńska (kier. działu kulturalnego), L. Onichimowski (redaktor naczelny), I. Sławińska (sekretarz redakcji). ZESPÓŁ KONSULTACYJNY: R. Frelek, R. Kapuściński, J. Lobman, J. Markiewicz, J. Wykretowicz. Opracowanie graficzne: G. Desput. Redaktor techniczny: I.A. Zmigrodzka. ADRES REDAKCJI: ul. Senatorska 35, 00-099 Warszawa, telefony: redaktor naczelny 27-15-86; sekretarz redakcji 27-36-09, redaktorzy 27,71-71. WARUNKI PRENUMERATY. Cena prenumeraty krajowej: rocznie – 96 zł, półrocznie – 48 zł, kwartalnie – 24 zł. Prenumeratę przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz Urzędy Pocztowe i doręczyciele w terminach: od 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze oraz cały rok; do 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty. Zakłady pracy, instytucje i organizacje składają zamówienia na prenumeratę w miejscowym Oddziale RSW, a w miejscowościach, w których nie ma tego oddziału, w Urzędach Pocztowych bądź u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa. Sprzedaż egzemplarzy zdezaktualizowanych na uprzednie pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Towarowa 28, 00-839 Warszawa. WYDAWCA: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91. DRUK: „Dom Słowa Polskiego”, Warszawa. Skład – Linotron 505 TC. Zam. 4552/CD. S-39. Numer podpisano do druku 26.VIII.1978 r. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Nr indeksu 36276



Cena 8 zł

